



2

P  
L  
A  
J

**ZESZYT  
TURYSTYCZNO -  
KRAJOZNAWCZY  
S tudenckiego  
K oła  
P rzewodników  
B eskidzkich**



**zawartość zeszytu:**

- krótka biografia  
WŁADYSŁAWA MIDOWICZA
- OPOWIEŚĆ O TOWARZYSTWIE  
TATRZAŃSKIM
- NOTATKI Z GÓRSKIEGO ŻYCIA
- JAK POWSTAŁ  
GŁÓWNY SZLAK KARPACKI
- O BIAŁYM SŁONIU  
NA CZARNOHORZE

▼

Płaj to droga do wnętrza gór, do ich serca. Droga, którą od wieków kroczyły całe pokolenia ich mieszkańców zamykając w jej kształcie sumę swoich doświadczeń. Można na niej odnaleźć oprócz śladów kierpców i racic, także ślady podkutych butów pierwszych turystów, czy rzuconych tu przez kolejną wojnę żołnierzy. Droga, na której w sposób ukryty, czytelny tylko dla wtajemniczonych zapisana jest historia gór. Chcemy, żeby także i nasz "Płaj" stał się taką właśnie swoistą drogą wprowadzającą czytelnika w świat gór w przestrzeni i w czasie.



Opracowanie redakcyjne  
i graficzne:

ANDRZEJ WIELOCHA

▼

Adres redakcji:  
WARSZAWA 64  
ul. Krakowskie Przedmieście 24  
tel. 26-82-91

WARSZAWA 1988

▼

Tym razem cały zeszyt "Płaju" wypełniają publikacje jednego z nestorów polskiej turystyki górskiej - WŁADYSŁAWA MIDOWICZA.

Są to wspomnienia, refleksje i obrazy z życia człowieka, o którym bez najmniejszej przesady można powiedzieć: "Ten, który górami żyje".

Polecamy je szczególnie tym wszystkim, dla których góry to coś więcej niż tylko jedna z wielu form ukształtowania powierzchni ziemi.



©

copyright by "Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich"

135 wydawnictwo SKPB

Do mu Koleże  
Andrzej Sielasza  
z serdecznym  
wzruszeniem  
autor



## KRÓTKA BIOGRAFIA WŁADYSŁAWA MIDOWICZA

*Uważny czytelnik może bez trudności odtworzyć biografię górską Władysława Midowicza z zamieszczonych w tym zeszycie jego opracowań, toteż w poniższej notce biograficznej ograniczymy się do niezbędnych tylko dat i informacji.*

Władysław Midowicz urodził się 28 maja 1907 roku w Mikuliczynie u podnóża Gorganów. Jego ojciec Tadeusz, absolwent Wyższej Szkoły Przemysłowej w Krakowie, był pracownikiem kolei. Matka, Helena z domu Ziarkiewicz, była córką maszynisty kolejowego ze Stanisławowa. Czas I wojny światowej zmuszał rodzinę Midowiczów do częstych zmian miejsca pobytu, toteż Władysław uczył się w Hodynkowcach, Stanisławowie, Wadowicach i ponownie w Stanisławowie. W okresie wojny polsko-ukraińskiej w latach 1918-1919 Władysław Midowicz znalazł się we Lwowie, gdzie - jak wiele polskich dzieci - "lwowskich orląt" - brał udział w obronie miasta.

W 1922 r. ojciec Władysława otrzymał posadę naczelnika stacji PKP w Dziedzicach. Midowiczowie przenoszą się więc do Białej Krakowskiej /dziś: wschodnia część Bielska-Białej/, gdzie Władysław w 1925 r. ukończył Gimnazjum Realne im. A. Asnyka. W tym samym roku podjął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, by po roku przenieść się do Państwowej Akademii Handlowej we Lwowie. Po jej ukończeniu powraca na Uniwersytet Jagielloński, ale tym razem na Wydział Geograficzny, gdzie w roku 1936 otrzymuje stopień magistra filozofii w zakresie geografii ze specjalizacją w meteorologii i klimatologii.

Równoległe ze studiami, a później pracą naukową, działał Władysław Midowicz społecznie w PTT, znakując pierwsze szlaki turystyczne w Beskidach Zachodnich. M.in. w latach 1925-26 wyznakował wszystkie szlaki w rejonie Babiej Góry, w tym słynną "Pęć Akademicką", a także w ramach "wojny na pędzle" wyparł z Beskidów Zachodnich znaki niemieckiej organizacji turystycznej Beskiden-Verein.



W 1927 r. został członkiem Oddziału Krakowskiego PTT i jeszcze w tym samym roku objął funkcję bibliotekarza Biblioteki Górskiej Towarzystwa w Krakowie, którą pełnił do roku 1930. W tym okresie przeprowadził reorganizację biblioteki i skatalogował zbiory.

W 1928 r. reaktywował Koło Akademickie przy Oddziale Krakowskim PTT, które w roku 1930 przekształcił w pierwszy Akademicki Oddział PTT, zostając jednocześnie jego prezesem.

Publikował liczne nowele, opowiadania i artykuły naukowe. Między innymi w 1928 r. w "Ochronie Przyrody" artykuł przedstawiający projekt utworzenia Parku Narodowego na Babiej Górze. W 1930 r. opublikował wydaną przez Oddział Babiogórski PTT monografię turystyczną Babiej Góry.

W latach 1932-37 był gospodarzem schroniska na Markowych Szczywnach.

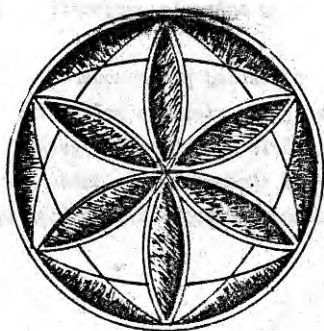
26 października 1931 roku Władysław Midowicz ożenił się z Antoniną Ćwięk, a 11 maja 1933 roku państwu Midowiczom urodził się syn Jacek.

W latach 1937-39 był kierownikiem Obserwatorium Państwowego Instytutu Meteorologicznego na Popie Iwanie.

W latach wojny służył jako meteorolog w bazach polskiego i brytyjskiego lotnictwa, by w 1944 r. otrzymać stopień kapitana. Zdemobilizowany na własną prośbę, rozpoczął w 1948 r. pracę w brytyjskiej służbie meteorologicznej Dalekiego Wschodu w Singapurze.

Po przejściu w 1958 r. w stan spoczynku, zamieszkał wraz z rodziną w południowej Australii, gdzie przez 6 lat pracował jako nauczyciel, a jednocześnie wytyczał i znakował pierwsze szlaki turystyczne w górach Findersa.

18 stycznia 1967 roku wrócił wraz z żoną do Polski. W latach 1967-1973 pełnił funkcję społecznego opiekuna sieci znakowanych szlaków Tatr Polskich.



"Założyciele Towarzystwa Tatrzańskiego dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że obok istniejącej wówczas społecznej potrzeby rozbudzenia ruchu turystycznego w ojczyste góry, występowała też inna, równie pilna potrzeba popierania badań naukowych w górach, ochrony silnie w owym czasie dewastowanej przyrody górskiej i niesienia pomocy ekonomicznej dla ludności pod każdym względem zaniedbanych krain górskich. Toteż powstało nie towarzystwo o celach jedynie turystycznych, lecz organizacja społeczna i patriotyczna, przyjmująca na siebie wszystkie wymienione wyżej zadania, wyraźnie zaznaczone już w statucie z roku 1874."

Witold Henryk Paryski

# OPOWIEŚĆ O TOWARZYSTWIE TATRZAŃSKIM

*Wszystkim Wam  
przyzywanym z obszarów niepamięci  
tę ostatnią pracę mego życia  
poświęcam*



#### OD AUTORA

Jest to zarys uwzględniający istotne wydarzenia i ludzi bodaj w jakimś stopniu zasłużonych dla polskiej turystyki górskiej. A więc nie sucha rozprawa naukowa. Rzecz pisana w wieku lat 80, gdy spozierając myślami wstecz aż do czasu gdy było się podrastającym nastolatkiem, widzi się i ocenia bardziej obiektywnie.

Pisane bez ubocznych wpływów i ciągot hagiograficznych. Pisane dla młodego pokolenia działaczy górskich, które dość często pragnie wiedzieć jak to było naprawdę, a więc bez mitów czy upiększeń niejednokrotnie szerzonych przez niektórych starszych ludzi.

Takie były przesłanki do napisania tej pracy, która, rzecz jasna, zawierać musi jakieś niedociągnięcia czy nawet braki. Będąc w polskich górach niemal ostatnim z prawdziwie dawnych działaczy, autor opierał się głównie na własnej jeszcze dość żywej pamięci.









## I. PRZYJĘCIE W KUŹNICACH - TWORZY SIĘ GALICYJSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE

Podróżowanie i z kolei turystyka w Tatry "Galicyjskie" do Zakopanego i Bukowiny rozwijały się od około połowy XIX wieku. I już w roku 1870 Walery Eljasz wydał z pomocą J.I. Kraszewskiego "Ilustrowany przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnicy". Nocowano przy ogniskach i w szałasach pasterskich, a kłusownicy, juhasi i niektórzy leśni uprawiali doraźnie niezorganizowane przewodnictwo, niekiedy mało udane. W prymitywnej wsi Zakopane nocowano głównie u bardziej przedsiębiorczych górali, często wskazywanych przez plebana ks. J. Stolarczyka, lub w którejś z dwóch karczem.

Już w latach sześćdziesiątych wspominało tu i ówdzie o potrzebie założenia towarzystwa turystycznego, które by poczęło zagospodarowywać polskie góry /w szczególności Tatry/ i organizować ruch turystyczny rosnący bez przerwy.

3 sierpnia 1873 roku kolejny właściciel dóbr Zakopane, berliński bankier Ludwik Eichborn, wydał obiad proszony w "Zwierzyńcu" kuźnickim ku czci odwiedzającego go właściciela Szczawnicy J. Szalaya, na który zaprosił m.in. ks. J. Stolarczyka, dr T. Chałubińskiego i posła na Sejm Galicyjski, Feliksa Pławickiego. Ten ostatni podczas rozmowy o projektowanym założeniu w najbliższych tygodniach Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego /Karpauthenverein/, zaproponował natychmiastowe założenie polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, z przydomkiem "Galicyjskie" i siedzibą w Nowym Targu. Do założycielskiego komitetu wybrano większość obiadowych gości, powierzając Pławickiemu oraz adwokatowi F. Biesiadeckiemu opracowanie statutu, uzupełnionego później przez ks. E. Janotę. Statut ten powierzał zebraniu założycieli, którzy zadeklarowali po sto guldenów /czyli 200 koron/, wybór pierwszego zarządu Towarzystwa.

Za jednego z założycieli, profesora U.J., dość ubogiego Maksymiliana Nowickiego, wpłacił tę kwotę właściciel Hotelu Krakowskiego, niejaki Marfiewicz.

Pierwszy statut Towarzystwa zatwierdziło "cesarsko-królewskie Namiestnictwo" we Lwowie 19 marca 1874 roku. Korzystając z jego uprawnień założyciele zwołali do Krakowa zebranie 10 maja 1874r. by wybrać pierwszy zarząd zwany w owych czasach Wydziałem. Tworzyli go: - Mieczysław Rey /prezes/, Adam Uznański /wiceprezes/, Maksymilian Nowicki /sekretarz i skarbnik/, Ludwik Eichborn, Walery Rzewuski i Józef Szalay, a jako tzw. zastępcy - Wincenty Arnese, Bolesław Lutostański, Władysław Markiewicz i Feliks Pławicki.

Zebranie to zgodziło się na konieczność wprowadzenia zmian w tym pierwszym statucie, które przedłożono walnemu zgromadzeniu już wszystkich dotąd uzyskanych członków, w dniu 31 maja 1874 r. Usunięto z tytułu nazwę "Galicyjskie", ograniczono uprawnienia założycieli i wprowadzono możliwość zakładania oddziałów T.T. w całym zaborze austriackim. Pewne sprzeciwy wywołała zmiana w tytule słów "w Nowym Targu" na "w Krakowie". Walne zebranie wprowadziło również w skład dotychczasowego raczej arystokratycznego zarządu, przedstawicieli inteligencji pracującej w osobach Walerego Eljasza, Leopolda Świerza oraz ks. Chmielowskiego.

Ale tarcia wewnętrzne trwały nadal i opozycja demokratycznej części zarządu pod wodzą Eljasza zebrawszy podpisy wymaganej przez statut ilości członków, spowodowała zwołanie do Zakopanego kolejnego walnego zebrania w dniu 15 sierpnia 1874 r. Uzyskawszy większość głosów, wprowadzono do zarządu /Wydziału/ 7 bardziej demokratycznych krakowian, w tym znanego drukarza i literata Władysława Ludwika Anczyca.

Tarcia wewnętrzne jednak trwały. Na dodatek namiestnictwo nie zatwierdziło uzupełnionego statutu i "założyciele" znowu byli górą. Dopiero po dalszych zmianach statut został ostatecznie przyjęty. Przyznawał on równe prawa wszystkim członkom Towarzystwa, ale utrudniał zwoływanie nadzwyczajnych walnych zgromadzeń, zgadzając się na odbywanie zebrań tylko w Krakowie, a nie podczas sezonu w Zakopanem, czego domagała się demokratyczna opozycja.

W uzupełniony Wydział T.T. weszło jeszcze kilka osób, w tym prof. Alojzy Alth, ks. Wawrzyniec Sutor i Adam Asnyk. Usunął się zeń na przeciąg trzech lat urażony Walery Eljasz.

To pozostawienie decyzji w rękach tzw. później panów krakowskich powodowało z upływem czasu pewne kostnienie działalności Towarzystwa, wolny i nierówny wzrost liczby członków oraz zupełne zaniedbanie przez długie lata Beskidów Zachodnich, jak i większości Karpat Wschodnich.

## II. SCHRONISKO PRZY MORSKIM OKU - LEOPOLD ŚWIERZ POPRAWIA WYGLĄD ZAKOPANEGO - KLASYFIKACJA PRZEWODNIKÓW

Jednym z pierwszych dokonań założonego T.T. była budowa schroniska im. Staszica przy Morskim Oku niegdyś zwanym Rybim Jeziorem lub Stawem. Budowlę tę można by określić jako "schronienie", bo na przeciętny schron była trochę za duża, a na schronisko zbyt prymitywna; posiadała w pierwszych trzech latach żywota tylko okiennice zamiast szklonych okien, a zamiast kuchenki palenisko między dwiema izbami, na dodatek bez komina. - "Kto wymyślił tę konstrukcję z drewna?" - zapytywał w późniejszych latach twórca stylu zakopiańskiego, Stanisław Witkiewicz, w swej słynnej książce "Na przełęcz". Podobno jej autorem był późniejszy członek Wydziału T.T. niejaki Wandalin Beringer, budowniczy z Krakowa, który u początku lat dziewięćdziesiątych zaprojektował także drugi budynek schroniska aż z siedmiu mansardkami, połączony krytym przejściem z pierwszą budowlą.

Prawdziwym duchem opiekuńczym Towarzystwa był przez długie lata Leopold Świerz, profesor-filolog w gimnazjum św. Anny w Krakowie, szeroko znany z odmowy zwracania się do uczniów w języku niemieckim podczas wizytacji ministerialnej, za co prześladowano

go dyscyplinarnie, a patrioci krakowscy wręczyli pierścień z napisem "Obroncy prawa narodowego języka".

W przeciwieństwie do Eljasza, Świerz nigdy nie zniechęcał się i nie wycofywał z T.T., choć obarczony liczną rodziną nie miał najłatwiejszego życia. Przez prawie 30 lat był sekretarzem Towarzystwa, w którym przepracował od założenia lat 35. To on głównie planował rozłożenie przyszłych schronisk, schronów i altan w Tatrach, a także zaprojektował schronisko w Starej Roztoce /1876/ w postaci góralskiej chaty, której budowy pilnował poprzez lato na miejscu, nocując w szopce opodal i żyjąc często o suchym chlebie i żentycy.

Tu warto zauważyć, że głównym powodem budowy dość licznych altan i zupełnie małych schronów zamiast nieco solidniejszych i zagospodarowanych latem schronisk, były niewysokie dochody Wydziału T.T., który otworzył i utrzymywał do czasu Szkołę Snycerską, zbudował linię telegraficzną z Nowego Targu i ponosił rosnące wydatki na administrację, a w pierwszych latach swego istnienia intensywnie usprawniał poruszanie się w Zakopanem, wysypując kuźnickim żużlem błotnisty i wyboisty trakt od plebanii aż do Kuźnic oraz do Jaszczurówki, układał chodniki na Krupówkach i Kasprusiach, oświetlał latarniami naftowymi te tworzone ulice, umieszczał ławki dla spacerowiczów, poprawiał mostki itp.

Można by rzec, że tak jak ks. Stolarczyk cywilizował duchowo zakopiańskich górali, grzmiąc z ambony swego ubożuchnego kościołka w każdą niedzielę i święto, tak Świerz cywilizował gospodarzoich bardzo zaniedbaną przez dwór w Kuźnicach wieś. I nie ulegało wątpliwości, że Towarzystwo Tatrzańskie przysparzało im rosnących z każdym rokiem zarobków, a ich dzieciom wykształcenia zawodowego, choć jeszcze przez wiele lat nie spotykało się z oznakami wdzięczności.

Podobnie, jak budową przy Morskim Oku, T.T. zajęło się już w pierwszym roku unormowaniem przewodnictwa, czyniąc to na raty. Najpierw wydawano za każdym razem pisemne "upoważnienie", z kolei poczęto wydawać książeczki przewodnickie i to na całe Tatry, w których wpisywano na stałe szczyty i miejsca wraz z cenami, do których przewodnik mógł prowadzić, wreszcie w roku 1877 sklasyfikowano przewodników, dzieląc ich na trzy klasy - pierwszo-, drugo-

i trzeciorzędnych. Do ówczesnej śmietanki przewodnickiej zaliczano Roja, Sieczkę, Tatara i obu Walów.

Aż do początku lat dziewięćdziesiątych przewodnicy nie byli płaćeni ryczałtowo, lecz zależnie od szczytu względnie miejsca, gdzie prowadzili. I tak przewodnik "pierwszorzędny" otrzymywał dziennie za wyprawę na Gerlach, Łomnicę, Lodowy, Wysoką, Krywań i Baranie Rogi - 4 korony + 2 korony strawnego, a za wycieczki do Stawów Gąsienicowych, Kościeliska lub na Czerwony Wierch /Mało-łączniak/ tylko 2 korony i strawne. Przewodnik trzeciorzędny nosił do 10 kilogramów bagażu turystycznego bezpłatnie. Pomocnikom przewodników zwanych tragarzami płaćićo się 2 korony dziennie i strawne, bez względu na cel wycieczki. Wszyscy przewodnicy byli zobowiązani do warzenia jedzenia na postoju oraz przygotowywania miejsca do spania.

Pierwszym komitetem dla spraw przewodnictwa tatrzańskiego wybranym przez Wydział T.T. byli: Leopold Świerż, który przewodniczył oraz augustianin ks. Wawrzyniec Sutor i Walery Eljasz. Weryfikowali oni przewodników, dzieląc ich ostatecznie na trzy klasy i wydając odznaki z blachy mosiężnej z napisem "Przewodnik tatrzański T.T." i numerem właściciela, a także cyfrą rzymską oznaczającą klasę przewodnika. Dopiero w ostatnich latach przed drugą wojną światową pojawił się przewodnik spoza góralszczyzny, prowadzący na bardzo trudne wyprawy skalne.

### III. DWÓR TATRZAŃSKI - SCHRONY I ALTANY - PIERWSZE ZNAKOWANIA SZLAKÓW TURYSTYCZNYCH

We wsi Zakopane brakowało pierwszym działaczom Towarzystwa Tatrzańskiego własnego dachu nad głową, który w niewystarczającym stopniu zastępował nowy dom Krzeptowskiego obok starego kościoła,



wynajęty w r. 1874 na tzw. kasyno i punkt informacyjny. Dlatego za blisko 20 tysięcy koron wzniesiono w r. 1882, u dołu Krupówek za Potokiem Foluszowym, Dwór Tatrzański /nazwa wymyślona przez Leopolda Świerza/, który rozbudowany ostatecznie w r. 1893, zawierał biuro informacyjne, bibliotekę, czytelnię, salę odczytową i taneczną, bufet z wyszynkiem i jadalnią, bilard, kręgielnię oraz kilkanaście pokoi gościnnych.

Było to więc nie tylko kasyno już z prawdziwego zdarzenia, ale i schronisko-hotel, a tym samym wyjściowa baza dla szybko rosnącego tatrzańskiego ruchu turystycznego. Z upływem czasu ten Dwór Tatrzański stawał się także placówką kulturalną, w której wygłaszali odczyty wybitni Polacy, włączając Henryka Sienkiewicza, w której występował jeszcze zupełnie młody Ignacy Paderewski, jak i Helena Modrzejewska i wielu innych.

Gdy w połowie lat 80-tych minionego wieku zaznaczył się poważniejszy spadek ilości członków T.T. jak i dochodów, Wydział Towarzystwa zgodził się na propozycję Świerza i Eljasza budowania w Tatrach tanich małych schronów i otwartych altan, tych ostatnich dla wygody wycieczkowiczów do bliskich Zakopanemu dolin i stawów. Schrony natomiast miały być w jakimś stopniu odpowiednikiem nie zagospodarowanych schronów alpejskich, gdzie w razie nagłego pogorszenia pogody tatrzańskiej czy zaskoczenia przez chmury lub zmrok, można się było przespać na szerokiej ławie pod ścianą. Schrony te posiadały wbudowane okienka i stolik na nogach wbitych w skalisty grunt, a pojemność ich wahała się od 2 do 3 osób /pod Świnicą/ do 6-8 /na Psiej Trawce/.

Pierwszy schron wzniesiono jeszcze w roku 1875, w dzikiej na ów czas Dolinie Waksmundzkiej, obok ledwo zaznaczającej się perci kłusowniczej, gubiącej się w piarżyskach pod Krzyżnem. Podobno ten zatopiony w głuszy domek natchnął Kazimierza Tetmajera do napisania "Zbójnickiej chałupy", pomieszczonej w opowieściach "Na Skalnym Podhalu".

Ale w roku 1878 lawiny śnieżne spływające spod Kosistej uszkodziły to używane głównie przez koziały schronienie i dlatego w r. 1880 przeniesiono je aż na Krzyżne, umieszczając na wysokiej podmurówce. W rok później Walery Eljasz wyznakował białymi pas-

kami szlak do tego schronu, wiodący dnem doliny i zakosami poprzez wysokie piargi.

Kolejny schron, niesłusznie zwany schroniskiem, zbudowano w r. 1876 ponad Wielkim Stawem z mszonych gładów granitu i dachem z dranic. Od wysoko położonych kolib pasterskich odróżniały go dwa małe okienka zasuwane deszczuikami, prycza na kilka osób zarzucona drobną kosówką i stolik z ławką pod przeciwną ścianą. Ze schronu tego chętnie korzystali pięciostawiańscy juhasi, a jesienią i wiosną także strzelcy kozic.

Tę kamienną kolebę zluźował z początkiem naszego wieku mało używany schron z Czerwonych Brzezków, do którego doczepiono werandkę i pomieszczenie dla gospodarza, pasując powstały barak na zagospodarowane latem schronisko.

Inny, zupełnie mały schron z roku 1889 pod Kopą Kondracką, do-trwał dziwnym zrządzeniem losu do lat dwudziestych i aż do końca był używany przez narciarzy.

Na zdjęciu reprodukowanym w 18-tym tomie Wierchów widnieje schron pod Miedzianem wybudowany w r. 1894 i niesłusznie nazwany altaną, gdyż może najbardziej ze wszystkich schronów T.T. przypominał niektóre dawne schrony alpejskie.

Należy także wspomnieć o schronie w postaci pustej szopki wybudowanej w roku 1895 w Ciemnych Smereczynach po węgierskiej na ów czas stronie, pokątnie - bo bez zezwolenia tzw. kamery czyli zarządu lasów cesarskich w Hradku Liptowskim, a za łapówką wypłaconą przez wysłannika T.T. miejscowemu leśnemu, podobno w kwocie trzystukilkudziesięciu koron. Zgodził się on pod warunkiem, że szopka będzie dobrze skryta w głębi boru, że nie będzie się tam palić ognia /czego oczywiście nie przestrzegano/ ani znaczyć dojścia, ani też wspominać o jej istnieniu w drukowanych publika-cjach. Klucz od tego schronu otrzymywali w Dworcu Tatrzańskim tylko działacze Towarzystwa i niektórzy taternicy, a później także członkowie niektórych jego sekcji. Może warto zaznaczyć, że szopkę wybudowała miejscowa dniówka leśna, rzekomo na domek myś-liwski dla zarządu lasów.

Schronem stała się także koliba Sieczki nad Czarnym Stawem Gąsienicowym, w której sprzedawał on turystom osczypki i mleko,

nocując niektórych na stryszkach. W roku 1905 T.T. zawarło z Sieczką umowę firmując te sprawy, choć górale zawsze nazywali ten schron "Sieckowa Buda". Już po pierwszej wojnie światowej silny wiatr zerwał którejs jesieni dach tej koliby i wrzucił go do stawu, gdzie moczył się jeszcze w roku 1922.

W tymże okresie rozmieszczono w Tatrach 9 altan, a to po dwie w Dolinie Kościeliskiej i Strążyńskiej i po jednej Za Bramką przy Zielonym Stawie Gąsienicowym, nad Stawem Smreczyńskim oraz przy Czarnym Stawie nad Morskim Okiem. Nie odegrały one ciekawszej roli w historii turystyki tatrzańskiej, a do okresu międzywojennego utrzymała się w jakim takim stanie altana w Dolinie Strążyńskiej pod Kominami.

#### IV.

#### PIERWSZE ODDZIAŁY TOWARZYSTWA

Statut Towarzystwa Tatrzańskiego zatwierdzony ostatecznie w drugiej połowie roku 1874 zezwalał na zakładanie oddziałów T.T. w całym zaborze austriackim, a więc w tzw. Galicji, a także na Śląsku Cieszyńskim. Pierwszy utworzył się Oddział T.T. w Stanisławowie w roku 1876, który istniał głównie pracą swego przewodniczącego Marcelego Eminowicza, budując nieduże schronisko na Zarosłaku pod Howerlą oraz schron nad Zawojelą, a po śmierci prezesa popadł w bezczynność i został rozwiązany w r. 1892. Oba jego schroniska przejął Oddział Czarnohorski w Kołomyi, który powstał rok później.

Był to chyba najdzielniejszy z wszystkich późniejszych oddziałów Towarzystwa. Oddzielony od macierzy odległością sześciuset kilometrów, założony w niedużym mieście powiatowym wśród obszarów etnicznie ruskich, odznaczał się szybko i wszechstronną inicjatywą oraz kresowym uporem. Już w roku 1878 zorganizował on na czar-

nohorskiej połoninie Gadżyna pod Szpyciami zagospodarowane latem schronisko w wykupionej kolibie pasterskiej, a w r. 1883 założył schron na połoninie stokowej Pop Iwana, zwanej Gropa.

W roku 1892 Oddział ukończył w Żabiem budowę Dworku Czarnohorskiego oraz przejął po rozwiązaniu Oddziale Stanisławowskim schronisko pod Howerlą i schron zawojelski, a w trzy lata później wybudował kolejny Dworek Czarnohorski w Worochcie.

Gdy doda się do tego kilka własnych wydawnictw, a nawet ukazujący się w 1884 roku miesięcznik "Turysta", to można by uznać Oddział Czarnohorski w owym okresie za swego rodzaju ekspozyturę Wydziału T.T. dla Karpat Wschodnich.

Oddziałowi przewodniczył przez 27 lat Konstanty Siwicki, a do najwybitniejszych jego działaczy należeli Jan Gregorowicz, Henryk Hoffbauer i Leopold Wajgel. Pewnym kołomyjskim odpowiednikiem Szkoły Snyckerskiej T.T. w Zakopanem był utrzymywany przez Oddział Czarnohorski bazar przemysłu huculskiego w tymże mieście.

W roku 1893, głównie dzięki staraniom Feliksa Wiśniewskiego i Stanisława Drohojowskiego, założono w Szczawnicy Oddział Pieniński T.T., który rozpoczął bardziej ożywioną działalność z początkiem naszego wieku, a w swych pierwszych latach zajmował się poprawą i ulepszeniem niektórych ścieżek, usprawnieniem flisactwa pienińskiego, a także naprawą środkowego odcinka Drogi Pienińskiej uszkodzanej przez powódzie.

Należy także wspomnieć o Oddziale T.T. utworzonym we Lwowie w roku 1883, który z braku wyników został rozwiązany w r. 1887. Jego chyba jedynym działaczem, który w roku 1884 oznaczył drogowską ścieżkę do skał w Bubniszczu, był Marceli Turkawski.

## V. ROZWÓJ TURYSTYKI KARPACKIEJ - TWORZENIE SIĘ MITU O "KRÓLU TATR"

Pomijając pojedynczych badaczy nauki /Staszic, Zejszner, Pol i in./, zupełnie słabiutki ruch turystyczny zaznaczał się w Tatrach, na Babiej Górze i w Czarnohorze, już około przełomu lat trzydziestych i czterdziestych przeminionego wieku. Także Niemcy z Bielska, Białej i Cieszyna wyłazili w trybie niedzielnych majówek na Magurkę, Klimczok i Czantorię.

Założenie Towarzystwa Tatrzańskiego, poza spacerami w regle i hale, rozwijało dzięki przewodnictwu i pierwszym schroniskom wędrowniki przez przełęcze i na łatwiejsze szczyty, co w owym czasie poczęto nazywać taternictwem. Pojawili się także pierwsi wspinacze i zdobywcy ostatnich dziewiczych szczytów Tatr /Janota, J.G. Pawlikowski, Stolarczyk, L.Chałubiński, J.Chmielowski i in./, a doprowadzenie linii kolejowej do Zakopanego /15.10.1899/ zadecydowało o pełniejszym rozwoju ruchu turystycznego w Tatrach.

Mit o odkryciu Tatr i Zakopanego przez Tytusa Chałubińskiego począł się szerzyć jeszcze za jego życia. Nie ulega wątpliwości, że ten wybitnie zasłużony lekarz, społecznik i patriota propagował z powodzeniem uroki Zakopanego i Tatr wśród mieszkańców Warszawy i bodaj części zaboru rosyjskiego oraz przyspieszył rozwój tej niegdyś prymitywnej wsi u podnóża Giewontu. Dlatego uczczono jego pamięć pięknym pomnikiem i nazwano jego imieniem Muzeum Tatrzańskie oraz jedną z przełęczy nad Morskim Okiem.

Niemniej Podtatrze i jego góry odkrywali głównie krakowianie już dobre ćwierć wieku przed Chałubińskim. I jeszcze za jego życia podnosiły się głosy krytyki, że zabiera na swe gwarne wyprawy większość przewodników, których tym samym brakuje dla kogo innego i że zbyt wspaniałomyślnymi datkami pieniężnymi rozpущcza górali. Ten ostatni zarzut był dość typowy ze strony oszczędnych galicyjskich "centusiów", którzy poza wyjątkami zarabiali o wiele mniej od doktora Chałubińskiego.

Tworzący się mit o odkrywcy Tatr i Zakopanego utrwalała także książka Stanisława Witkiewicza "Na przełęczy". Poza spacerami reglowymi była to jedyna wycieczka w głąb Tatr twórcy stylu zakopiańskiego.

Stosunek Chałubińskiego do Towarzystwa Tatrzańskiego był spokojnie sprzyjający. Nie brał on udziału w jego pracach, choć w dnie deszczowe zaglądał czasem do pierwocin kasyna T.T. w domu Krzeptowskiego. Lubił towarzystwo górali, z którymi mógł współżyć zaledwie przez kilka tygodni lata i wczesnej jesieni.

Do rozwoju turystyki karpackiej przyczyniali się także letnicy i kuracjusze z podgórszych uzdrowisk jak Szczawnica, Krynica, Ustroń i in. Szczególnie zaznaczało się to w Pieninach.

## VI. KTO DOPOMAGAŁ TOWARZYSTWU? - KOSZTY ADMINISTRACJI - PAMIĘTNIK T.T.

W pełniejszym tego słowa znaczeniu i nieodpłatnie dopomagało Towarzystwu stosunkowo niewielu ludzi. Oczywiście Walery Eljasz i ks. Wawrzyniec Sutor, a później ks. Wojciech Roszek, prowadzili roboty w górach utrzymując się z własnej kieszeni. Podobnie Leopold Świerz, gdy dozorował podczas wakacji budowę schronów, a przede wszystkim schroniska w Roztoce. Skarbnikowi T.T. przez lat 20, Danielowi Wierzbickiemu, adiunktowi Obserwatorium Astro-nomicznego U.J., płaćcio Towarzystwo 500 koron rocznie. Także wieloletniemu sekretarzowi, Leopoldowi Świerzowi, udzielało miesięcznie 40 koron gratyfikacji by wyrównać zrezygnowanie przez niego z popołudniowych korepetycji, którymi przedtem dorabiał na utrzymanie swej licznej rodziny. Prace Świerza dla T.T. były oczywiście niezastąpione i warte wielokrotnie więcej.

Ze strony zamożniejszych górali i gminy zakopiańskiej nie było materialnej pomocy przez długie lata. Natomiast chętnie przyjmowano wszelkie świadczenia udzielane przez Towarzystwo. Pomocy nie skąpił kolejny właściciel Zakopanego, Władysław Zamoyski, zwłaszcza w postaci bezpłatnego udzielania miejsca pod schrony i altany oraz wydatnych zniżek na drewno budowlane. Także rektor U.J., J.Dietl, ofiarował w 1874 r. koron 100, a jeden z



hrabiów austrackich koron 20.

Głównie dopomagały Towarzystwu dość poważnych rozmiarów subwencje udzielane przez Sejm Galicyjski we Lwowie, a także przez Wydział Krajowy. Dołączały później magistraty Krakowa i Lwowa, niektóre rady powiatowe i izby handlowe. Średnio biorąc, subwencje w minionym wieku wynosiły od 4 do 6% dochodów Towarzystwa, co w okresie pierwszych lat dwudziestu przyniosło z górą 15 tysięcy koron.

Do uzyskiwania subwencji Sejmu i Wydziału dopomagali utytułowani prezesi Towarzystwa, ponieważ samorządem Galicji /czyli Małopolski/ również kierowała ówczesna arystokracja.

Stosunkowo dużo kosztowała administracja T.T., bo około 30% dochodów rocznych, czyli średnio około połowę składek członkowskich, które przez kilkadziesiąt lat pozostawały bez zmiany /4 korony rocznie plus 2 korony na Pamiętnik otrzymywany przez każdego członka/. Łącznie administracja kosztowała około 4 tysięcy koron rocznie, obejmując biura w Krakowie i Zakopanem oraz Straż Górską.

Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego wzorował się na ogół na tego rodzaju wydawnictwach innych stowarzyszeń górskich Europy. Obciążał go w jakimś stopniu publikowany co roku spis członków, a przede wszystkim obszerne zestawienia wyników dość licznych stacji termometryczno-opadowych T.T. Publikowano dużą ilość artykułów popularno-naukowych oraz opisów wycieczek górskich, niemal zupełnie pomijając literaturę piękną. Do szczególnie ciekawych należały artykuły historyczne Stanisława Eljasza Radzikowskiego, jak i zespół artykułów historycznych dotyczących sporu o Morskie Oko oraz obrony polskich obszarów Orawy, Spisza i Czadeckiego w latach 1919-1920.

Treść Pamiętnika była wynikiem pierwszego statutu T.T., który w zgodzie z duchem czasu umieszczał sprawy turystyki górskiej jak gdyby wstydliwie, dopiero na drugim miejscu. W skład jego komitetu redakcyjnego wchodził profesorowie U.J. i był on redagowany po profesorsku. W latach dwudziestych naszego wieku, starsi członkowie Towarzystwa porównując dawny Pamiętnik z ukazującymi się od kilku lat Wierchami, niejednokrotnie określali go jako nobliwą, ale miejscami nieco nużącą publikację. Do jego redaktorów

należeli w różnym czasie Alojzy Alth, Maksymilian Nowicki, Daniel Wierzbicki, Władysław Szajnocha, Ignacy Król, no i oczywiście oba filary Towarzystwa, Leopold Świerz i Walery Eljasz, ten ostatni będąc także ilustratorem Pamiętnika przez szereg lat.

Na Walnym Zebraniu w roku 1886, w okresie najsilniejszego spadku ilości członków T.T., a więc i dochodów, treści i koszt Pamiętnika były dość ostro omawiane i w rezultacie zamiast nie wydanego w owym roku tomu, członkowie Towarzystwa otrzymali bezpłatnie kolejne wydanie przewodnika po Tatrach W.Eljasza, w całości zapłacone ze składek członkowskich.

## VII.

### PROBLEM SZKOŁY SNYCERSKIEJ

Towarzystwo Tatrzańskie rozpoczęło starania o założenie Szkoły Snycerskiej w roku 1875, a więc niedługo po ostatecznym zatwierdzeniu swego statutu, który w §1.4 wymieniał jako ostatni z celów Towarzystwa - "Popieranie właściwych okolicom górskim gałęzi gospodarstwa i drobnego przemysłu górskiego".

Nigdy nie było całkowicie jasne, kto wprowadził ten punkt do statutu. Jeśli nie uczynił tego F.Pławicki, to najprawdopodobniej E.Janota. Natomiast realizację w postaci szkoły snycerskiej przypisywano L.Świerzowi, co w latach dwudziestych naszego stulecia potwierdzał jego syn Mieczysław.

Gdy idzie o stronę finansową założenia szkoły, to najprawdopodobniej nie zdawano sobie sprawy, ile ten szlachetny uczynek będzie kosztować młode i raczej ubogie Towarzystwo. Bowiem przez 14 lat, a więc do czasu przejęcia całości szkoły przez Wydział Krajowy we Lwowie, T.T. wydatkowało na ten cel prawie 25 tysięcy koron, czyli z górą 10% swych przychodów.

Wydatki te były przypomniane na niejednym z corocznych Walnych Zebrań, szczególnie gdy zachodziły starcia z kierownictwem szkoły,

której przewodził ziemczasty Czech, Franciszek Neužil, usiłujący wprowadzać do zdobnictwa podtatrzańskiego motywy tyrolskie.

Pod koniec lat osiemdziesiątych minionego wieku jeden z uczestników Walnego Zebrania wystąpił z ostrą krytyką tych dużych wydatków, przypominając, że na Hali Gąsienicowej członkowie Towarzystwa ciągle jeszcze muszą szukać noclegu po szałasach "bo T.T. zużywa część składek członkowskich na naukę rzeźbiarstwa wśród górali, zamiast na budowę choćby najskromniejszego schroniska na Hali"x/

Protest ten, jak i późniejsze, spowodował w roku 1894 zakup przez Towarzystwo dwóch szałasów na Hali Gąsienicowej, z których jeden przerobiono na prymitywną sypialnię, a drugi adaptowano na pomieszczenie gospodarza i zarazem kuchenkę z dwoma stolikami dla gości.

#### VIII. POŻAR SCHRONISKA PRZY MORSKIM OKU I DWORU TATRZAŃSKIEGO - SPÓR Z WĘGRAMI

Około przełomu wieku XIX pracę w T.T. poczęli przejmować nieco młodszy działacze. W zaświaty odeszli Anczyc, Janota, Kantak, Nowicki, Roszek, Wierzbicki i in., a dożywali Eljasz i Świerz.

Jesienią roku 1898 ktoś podpalił dwuczłonowe schronisko przy Morskim Oku. Zamknięte na zimę spłonęło w zupełnej pustce, a o podpalenie podejrzewano rodzinę Burych z Białki Tatrzańskiej, którzy w parę lat później wybudowali małe schronisko opodal, wchodząc w kolizję z T.T., które jako współwłaściciel Hali Morskiego Oka zgody na tę budowę nie udzieliło.

Już wiosną następnego roku Towarzystwo przerobiło wozownię

x/ Tych wspomnień udzielił autorowi w marcu 1927 r. nestor Towarzystwa, Jan Gwałbert Pawlikowski.

schroniskową z 1892 roku na prowizoryczne schronisko, dobudowując doń krytą werandę. Służyło ono zastępczo przez 10 lat i chyba nikt nie przypuszczał, że po wybudowaniu nowego schroniska w 1908 roku ta niegdyś szopa przetrwa jako schronisko dla zbiorowych wybieżek, głównie szkolnych, niemal do końca XX wieku.

W rok później, podczas dość szumnej zabawy tanecznej, spłonął rozbudowany przed kilku laty Dwór Tatrzański. Noc była chłodna i dlatego usiłowano dogrzać salę nowo zakupionym piecykiem benzynowym, którego obsługę powierzono doraźnie dwóm przewodnikom tatrzańskim. Podochociwszy sobie, poczęli oni uzupełniać paliwo lejąc benzynę do nie całkiem wygaszonego piecyka, który na dodatek przewrócili odskakując po wybuchu płomieni.

Drewniany i rozległy dwór, który wraz z rozbudową kosztował łącznie około 70 tysięcy koron, płonął jak smolna pochodnia. Żałowano go, bo był przestronny i stosunkowo wygodny, szczególnie w porównaniu z kolejnym murowanym Dworcem Tatrzańskim.

Rok 1902 zaznaczył się dla Towarzystwa Tatrzańskiego ostatecznym wygraniem wieloletniego sporu z Królestwem Węgier o przynależność Morskiego Oka wraz z otaczającą grania Rysów i Żabich Szczytów. Spór ten rozdmuchiwał i podtrzymywał pruski właściciel dominium Jaworzyna Spiska z przyległościami, Chrystian Hohenlohe. W orzeczeniu trybunału rozjemczego w Graz zaważyły materiały historyczne przygotowane przez działaczy T.T., zwłaszcza przez Stanisława Eljasza Radzikowskiego, jak i obrona praw polskich przez profesora Oswalda Balcera. W oświadczeniu złożonym do protokołu strona polska zastrzegła sobie dochodzenie w przyszłości historycznych i etnograficznych praw do Zamagurza Spiskiego, a więc i do północnej strony całych Tatr Wysokich i Bielskich.

## IX. ROZWÓJ TATERNICTWA - SEKCJA TURYSTYCZNA T.T. - BUDOWA ORLEJ PERCI

Wyczynowe chodzenie po Tatrach rozpoczął z północnej strony ks. J.Stolarczyk, z kolei kontynuowali Jan Gwalbert Pawlikowski i Ludwik Chałubiński, a nieco później ks. Walenty Gadowski oraz Jan Nowicki. Wszyscy oni odbywali swe wyprawy z zakopiańskimi przewodnikami.

Pod koniec minionego stulecia rozpoczął swój długi taternicki staż Janusz Chmielowski, jeszcze w wieku lat 17 i także z przewodnikiem, chodząc w późniejszych latach samodzielnie i wprowadzając do taternictwa użycie lin, raków, kutych butów oraz trzewiczków i czekana.

Erę samodzielnego chodzenia po Tatrach w zespołach linowych rozpoczęli w pierwszych latach naszego wieku studenci szkół wyższych Lwowa i Krakowa, tworząc małe kluby górskie - "Himalaya" /Zygmunt Klemensiewicz, Roman Kordys, Jerzy Maślanka/, "Kilimandżaro" /Walery i Ferdynand Goetlowie, Mieczysław Świerż, Władysław Kulczyński/, "Bacówka" /K.Panek, Ignacy Król, J.Jankowski, K.Pręgowski/. Było to pokolenie dokonujące pierwszych wejść i przejść głównie przełęczy i ścian, bo nie zdobytych szczytów, poza nielicznymi i pomniejszych turniami, już poczynano brakować.

W roku 1903 powstała, głównie staraniem J.Chmielowskiego, Sekcja Turystyczna Towarzystwa Tatrzańskiego, która w pierwszych latach swego istnienia przyjmowała każdego, a od roku 1908 zamieniła się w klub zamknięty. Przyłączyły się do niej wymienione powyżej klubiki, choć nigdy nie przekroczyła ona stu członków. Jej pierwszym przewodniczącym był J.Chmielowski, a następnie ks. W. Gadowski. Do wybitniejszych, a poprzednio nie zrzeszonych członków, należeli W.Boldireff, A.Kroebl, A.Lewicki, T.Łopuszański, M.Zaruski, A.Znamięcki i in.

Do wysoce wartościowych publikacji wydanych przez Sekcję należały - pierwszy szczegółowy przewodnik "Tatry Wysokie" Janusza Chmielowskiego oraz "Zasady Taternictwa" Zygmunta Klemensiewicza, a także periodyk "Taternik", który wychodził od roku 1907.

Sekcja Turystyczna przejęła również nadzór nad zawodowym prze-

wodnictwem oraz prowadziła latem biuro informacyjne w Zakopanem. Stanowiła czynnik postępu w rozwoju Towarzystwa, także w dziedzinie ochrony przyrody.

W roku 1903 ks. W.Gadowski przystąpił do przetrasowania Orlej Perci. Projekt należał do Franciszka H.Nowickiego, który jednak w samej i niełatwej pracy nie wziął udziału. Roboty trwały z przerwami trzy lata, a poważną część kosztów pokrywał ks. Gadowski z własnej kieszeni, szczególnie wyżywienie robotników górali oraz farbę do znakowania, którą był oryginalny czerwony cynober o wysokiej cenie 30 koron za kilogram.

Pierwszy plan materiałowy dla odcinka Krzyżne-Zawrat był znacznie zawyżony, bo przewidywał dla 11 tylko części Kozi Wierch - Zawrat 20 drabinek metalowych, 11 lin drucianych dziesięciometrowych, poręcze dla drabin, klamry i haki. W ostatecznym rezultacie założono na tym odcinku 2 drabinki, 5 łańcuchów, 1 linę drucianą i 4 klamry.

Dodatkami do Orlej Perci były dojścia z obu stron oraz dwa przejścia poprzeczne, z których czerwony szlak z Pańszczyzny, przez Przełęcz Nowickiego, do Dolinki Buczynowej /bez jakichkolwiek ubezpieczeń/ stanowił najkrótsze przejście górami do Morskiego Oka, a z biegiem lat zanikł w całości.

W pierwszych latach swego istnienia Orla Percé posiadała wariant /"szlak trudniejszy"/ w sektorze Buczynowych Turni, a także opadała dwuodcinkową drabinką po urwisku Kozich Czub wprost na Kozią Przełęcz, stanowiąc aż do lat pięćdziesiątych najbardziej powietrzne przejście na ubezpieczonych szlakach Tatr.

Szlak ten był i jest najbardziej kontrowersyjną ścieżką tatrzańską, szczególnie wśród działaczy ochrony przyrody.



X. ODDZIAŁ BABIOGÓRSKI T.T. - WALKA Z "BESKIDEN-VEREIN" -  
ODDZIAŁ W NOWYM SĄCZU

W przeciwieństwie do ówczesnych Karpat Wschodnich, Beskidy Zachodnie trwały nietknięte ręką Towarzystwa Tatrzańskiego przez z górą 30 lat. Gospodarzył w nich natomiast od roku 1893 i to przy pomocy gadzinowych funduszków przemysłu bielskiego i górnośląskiego, założony na Śląsku Zaolziańskim i Cieszyńskim hakatystyczny "Beskiden-Verein". Szczególnie aktywna była jego najsilniejsza sekcja w Bielsku-Białej, miastach obsiadłych przez niemieckie fabryki i zwanych przez ich posiadaczy "małym Berlinem". Ich znakowane szlaki sięgały pod koniec XIX wieku po babiogórską przełęcz Krowiarki, a w roku 1904 rozpoczęli oni budowę kolejnego schroniska aż pod szczytem Diablaka.

Na całe szczęście członek Wydziału Wykonawczego T.T. od roku 1904 i emerytowany austriacki major-audytór, Hugo Zapałowicz, pierwszy stawiał temu opór, zakładając w Makowie w roku 1905 Oddział Babiogórski T.T., a w rok później otwierając na Markowych Szczawinach pierwsze polskie schronisko w Beskidach<sup>x/</sup>. Jeszcze przed jego otwarciem wyznakował on czerwonym kolorem pierwszy polski szlak w Beskidach Zachodnich, wiodący jako dojście do Babiej Góry, z Suchej do Zawoi oraz zlecił Wawrzyńcowi Szkolnikowi z Czatoży przeznakowanie trzech starszych i podniszczonych szlaków niemieckich, a także przedłużenie w czerwonym kolorze wejścia od polskiego schroniska na szczyt Babiej Góry. W rok później Niemcy pozacierali jesienią polskie znakowania, z czego wynikł proces karny w Makowie, gdzie twierdzili oni, że im tylko przysługuje prawo znakowania szlaków na obszarze dóbr żywieckich. Proces przegrali, płacąc koszty sądowe /wina udowodniona, ale bez złych chęci/.

W roku 1906, zachęceni działalnością Zapałowicza w Babiogórszczyźnie, Antoni Lenczowski i Kazimierz Sosnowski przy poparciu innych nauczycieli szkół średnich w Nowym Sączu, założyli Towarzystwo Turystyczne "Beskid", które po roku przyłączyło się jako

<sup>x/</sup> Od roku 1895 istniało na Magurce nad Łodygowicami góralskie schronisko Sikorów, zresztą wspólnie z "Beskiden-Verein".

miejscowy oddział do T.T., znakując szlaki w Beskidach Nadpopradzkich. Pierwszy szlak w tamtych górach, a drugi polski w całych Beskidach, wyznakował K.Sosnowski z Rytra przez Prehybę do Szczawnicy kolorem czerwonym, jako dojście do Pienin. Nowy Oddział założył miejscową produkcję metalowych tablic drogowskazowych z doczepionym u spodu obrazkiem Madonny, co z miejsca zniechęciło okolicznych pastuchów do ich uszkodzania czy niszczenia, bo "ręka by takiemu uschła!" - jak przypominano w niedzielnych kazaniach.

Kilka miesięcy przed pierwszą wojną światową Oddział T.T. w Nowym Sączu wydał pierwszy polski Przewodnik po Beskidzie Zachodnim i Pieninach, pióra K.Sosnowskiego, szczegółowy i z wielu zdjęciami.

W latach 1906/7 zaznaczył się dalszy rozwój Oddziału Pienińskiego, który zyskał prawdziwie czynnego działacza w postaci Zygmunta Tałasiewicza. Wyznakowano farbami najpopularniejsze ścieżki Pienin oraz wybudowano na brzegu przełomu pod Przechodkami schronisko im. H.Sienkiewicza, które nie posiadając noclegów żywiło przechodzących turystów /dwie izby i kuchenka z werandą/, udzielając podczas niepogody nocnego schronienia na sianie poddasza.

## XI. POCZĄTKI KARPACKIEGO NARCIARSTWA - TATRZAŃSKIE RATOWNICTWO - NOWE SCHRONISKO PRZY MORSKIM OKU

Pierwsze górskie wycieczki na pierwocinach nart i o jednym kiju, to wyprawy Tadeusza Smoluchowskiego /1893/ w Karpaty Wschodnie i Stanisława Barabasa z Janem Fischerem /1894/ do Czarnego Stawu pod Kościelcem. W roku 1897 Marian Małaczyński i Józef Schnajder wyszli na nartach z towarzyszącymi Hucułami na Chomiak, a z kolei na Howerlę. Wreszcie w roku 1902 Barabasz, Fischer i Kuliński osiągnęli Przełęcz pod Kopą Kondracką.

Wszyscy oni byli członkami T.T.

Lata 1904-1907 zapoczątkowały już bardziej powszechny rozwój karpackiej turystyki narciarskiej. Bracia Smoluchowscy, Z.Klemensiewicz, R.Kordys i M.Dudryk, pod egidą Karpackiego Towarzystwa Narciarzy dokonali pierwszych wejść w Gorganach /Doboszanka/ i w Czarnohorze /Pop Iwan/, a Zaruski z towarzyszami w Tatrach. W roku 1906 powstały sekcje narciarskie oddziałów T.T. w Nowym Sączu i w Kołomyi, a w rok później Zaruski przy współpracy S.Barabasza i M.Karłowicza założył Zakopiański Oddział Narciarzy T.T., do którego przystąpili Stanisław Zdyb, Henryk Bednarski, Józef Oppenheim i in. Była to późniejsza główna sekcja narciarska Towarzystwa, która przodowała tak turystycznie, jak i sportowo przez długie lata. Jej członkowie dokonali pierwszych wejść narciarskich, niektórych z ubezpieczeniem linowym, na Wielki Kościelec, Granaty i Młynarza, a także na łatwiejsze szczyty, jak Kozi Wierch i Rohacze.

Warto podkreślić, że pierwsze wyprawy narciarskie, szczególnie w głąb Karpat Wschodnich, nie należały do łatwych, zwłaszcza zimowe zdobycie Doboszanki, Bliźnicy i Trojaki. Jak pisał po latach Zygmunt Klemensiewicz - "to nie były wycieczki odbywane między dwoma noclegami w schroniskach, ale zaprzepaszczenie się zupełne w pustkowiu górskim na dnie całe, biwakowanie przez długie noce zimowe pod gołym niebem, szukanie przejścia przez chaos szczytów, których nikt nie znał i nikt nie opisał".

I nie było w tym przesady. Nocowano najczęściej w na pół rozwalonych szałasach, przy buzującym w mroźne noce ogniu, włączając w ekwipunek siekiere, a niekiedy i piłę. Waga plecaka dochodziła 30-40 kilogramów. Tego, że jakiś smar może ułatwić podchodzenie, nikt nawet nie przeczuwał.

Jesienią 1909 nieustrudzony Mariusz Zaruski założył Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Składając się z przewodników i miejscowych członków T.T. było ono instytucją samodzielną aż do roku 1928, w którym przemieniło się w Sekcję Ratowniczą Towarzystwa.

Już w pierwszych latach swojej działalności T.O.P.R. dokonało prawdziwie trudnych akcji ratowniczych, m.in. po ciężko rannego Szulakiewicza umierającego w mroźnej ulewie na ścianie Małego

Jaworowego i po Bandrowską, usiłującą zsunąć się w przepaść Komi-na Dregge'a w Granatach by położyć koniec męczarni bezowocnego czekania na ratunek. W trakcie akcji po Szulakiewicza zginął Klimek Bachleđa, a do Bandrowskiej spuszczano się na linach głęboką nocą.

W roku 1908 Towarzystwo otwarło uroczyście nowe schronisko przy Morskim Oku, które do dziś czeka na kapitalny remont i oczyszczenie z licznych dobudówek i szopek lub na całkowitą likwidację po wybudowaniu nowego obiektu gdzieś w okolicy Włosienicy.

Schronisko to w stylu willi zakopiańskiej kosztowało blisko 80 tysięcy koron i wraz z Dworkiem Czarnohorskim w Worochcie nie było już "budą zwaną schroniskiem". W jednym z przemówień wygłoszonych podczas jego otwarcia ktoś powiedział, że właściwie należałoby być wdzięcznym białaczanom za podpalenie jego poprzednika, bo zmusiło to Towarzystwo do wystawienia przyzwoitej budowli nad tym najpiękniejszym z jezior.

## XII. TOWARZYSTWO TURYSTYCZNE "BESKID ŚLĄSKI" - NOWE SEKCJE T.T. - "PANOWIE KRAKOWSCY" - I WOJNA ŚWIATOWA

Powstanie pierwszych oddziałów zachodniobeskidzkich, jak i budowa schroniska na stokach Babiej Góry, zachęciły działaczy cieszyńskich do energiczniejszej akcji, zwłaszcza iż Jan Michejda zakupił parcelę pod przyszłe schronisko na grzbiecie Czantorii jeszcze w roku 1904.

Do najwybitniejszych działaczy turystycznych należeli w owych latach Jan Kotas, Jan Galicz, Cyryl Ratajski i in. Oni to, gdy władze w Morawskiej Ostrawie odmówiły zezwolenia na założenie oddziału T.T. w Cieszynie przypominając, że należy on do Królestwa Czech i Moraw a nie do Galicji, założyli w roku 1910 Towarzystwo Turystyczne "Beskid Śląski", co gazety niemieckie uznały za pro-

wokację, a zarząd kamery habsburskiej odmówił sprzedaży drewna z otaczających Czantorię lasów i zabronił transportu materiałów budowlanych na jej grzbiecie. W rezultacie pierwszy przewodniczący C. Ratajski zakupił i ofiarował "Beskidowi" grunt na górze Ropiechce za Olzą pod schronisko, które wybudowano w roku 1913, a ręka niemiecka podpaliła nocą 5 lat później. W roku 1921, po unormowaniu stosunków politycznych "Beskid Śląski" przyłączył się do Towarzystwa Tatrzańskiego jako jego Oddział Cieszyński.

Tak więc druga połowa pierwszej dekady naszego wieku zaznaczyła się wzmożoną działalnością w T.T. Jego najstarsza sekcja przechodziła coraz bardziej na działalność sportową, zdobywając coraz trudniejsze ściany i przełęcze, a także tocząc ożywione dysputy ideologiczne /Karłowicz - Kordys-Zaruski/. Szczytowym osiągnięciem jej członków było przejście południowej ściany Zamarłej Turni.

W roku 1910 założono w Zakopanem ruchliwą Sekcję Przyrodniczą T.T., która poza prowadzeniem subwencjonowanych przez Towarzystwo badań i opracowywaniem referatów założyła w Zakopanem wzorową stację meteorologiczną zaopatrzoną w przyrządy samopiszące i prowadzoną przez Borysa Wigilewa. Choć cierpiący na gruźlicę, udawał się on latem i zimą co tygodnia na Halę Gąsienicową, by wymienić taśmy w porównawczej stacji samopisów.

W dwa lata później powstała Sekcja Ochrony Tatr, która między innymi podjęła energiczną akcję przeciw budowie kolejki zębatej na Liliowe, niewczesnego pomysłu jednego z inżynierów małopolskich, który proponował założenie eksploatacji granitu na stokach Świnicy. Czołową postacią Sekcji był Jan Gwalbert Pawlikowski.

Ochrona przyrody tatrzańskiej stanowiła jedną z trosk T.T. już od pierwszych lat istnienia. Przeprowadzenie ustawy o ochronie kozic i świstaków, założenie Towarzystwa Ochrony Tatr celem wykupienia ich z rąk cudzoziemców uprawiających rabunkową gospodarkę leśną, wykup udziałów w halach, zalesienie Doliny Jaworzynki, ochrona szarotek i zarybianie niektórych stawów - oto były działania Towarzystwa uważane za narodowy obowiązek.

Przy T.T. tworzyły się w owych latach także inne sekcje, jak Ludoznawcza i Przyjaciół Zakopanego. Główny udział brali w nich

naukowcy coraz liczniej przybywający pod Tatry, a także osiedlający się w Zakopanem, które z ubogiej wsi góralskiej przekształciło się w "letnią stolicę" narodu. W Zakopanem skupiała się w owych latach zdecydowana większość działalności Towarzystwa, z wszechstronnym Mariuszem Zaruskim u czoła, który także zajmował się siecią znakowanych farbami szlaków turystycznych. Rozmnożyły się one tak wydatnie, że wyczerpawszy wszystkie kolory, zaczął on wprowadzać dwukolorowe znaki na nowych trasach.

W Krakowie pozostawały nadal - kierownictwo, administracja T.T. i redakcja "Pamiętnika". W roku 1912 objął prezesurę po ostatnim przewodniczącym z arystokratycznej serii, profesor UJ, Władysław Szajnocha. Rok wcześniej zmarł wieloletni sekretarz i główny fi-lar Towarzystwa, Leopold Świerż.

Kraków zatem nadal rywalizował z Zakopanem, posiadając absolutną większość członków Wydziału i będąc statutowym miejscem doroczych walnych zebrań całego T.T. Stąd jeszcze w przeminionym wieku urobiono pod Tatrami żartobliwą nazwę /nieraz wymawianą z przekąsem/ o "panach krakowskich". Można tu dodać, że pierwsze dekady organizowania turystyki w Tatrach nazywali niektórzy "chałubińszczyzną".

Pierwsza wojna światowa i zjadłe walki w Karpatach Wschodnich zniszczyły dobytek Oddziału Czarnohorskiego T.T. Schrony tatrzańskie jak i budynek w Dolinie Pięciu Stawów ucierpiały od dezertersów włamujących się, rąbiących na opał spartańskie urządzenie wewnątrz, a co gorsza, pozostawiających nie domknięte drzwi. Niezbędne naprawy i zabezpieczenia obiektów dozorował Walery Goe-tel, a ratownictwem kierował Józef Oppenheim. Oni również pilnowali niszczących ubezpieczeń na szlakach Tatr Wysokich, gdzie latem nie brakowało turystów, bo Zakopane było zapełnione uciek-nierami głównie z miast Małopolski. Zaruski ze swymi młodymi współpracownikami walczył w Legionach, a część taterników i narciarzy w alpejskich formacjach austriackich. Dopiero wiosną 1919 roku przystąpiono do pełniejszej odnowy prac w górach, już jako Polskie Towarzystwo Tatrzańskie.



### XIII. WALKA O SPISZ I ORAWĘ - "MUROWANIEC" - REORGANIZACJA TOWARZYSTWA - KONWENCJA TURYSTYCZNA

Pomimo lokalnych porozumień powstająca Czechosłowacja usiłowała przejąć w całości spadek terytorialny po dawnym Królestwie Węgier, włączając czysto polskie wsie górnej Orawy i Spiskiego Zamagurza, podobnie jak drogą nagłego uderzenia i sfałszowanych rozkazów rzekomo alianckich weszła w posiadanie Śląska Zaolziańskiego.

Po zarządzeniu przez aliantów plebiscytu na spornych terenach, Towarzystwo Tatrzańskie zorganizowało energicznie działający Narodowy Komitet Obrony tych Ziem z siedzibą w Krakowie i w całości poświęciło tym sprawom ostatni rocznik "Pamiętnika". Komisji Plebiscytowej w Nowym Targu przewodniczył Walery Goetel, a liczny udział brali w niej działacze Towarzystwa. Ramię zbrojne tej akcji stanowiła Kompania Wysokogórska pod dowództwem kapitana Władysława Ziętkiewicza, należąca do Brygady Podhalańskiej w Bielsku, którą zorganizował pułkownik z Legionów, a później generał Andrzej Galić rodem z Białego Dunajca. Dopomagał mu major Zaruski.

Od jesieni 1920 r. Kompania bazowała na Kirach Kościeliskich, pomagając Sekcji Narciarskiej T.T. w zaopatrzeniu na zimę dwóch nie zagospodarowanych schronisk, a to na Hali Pyszej, obiektu przystosowanego z dawnego szałasów jeszcze przed wojną, oraz zgrabnego domku u początku Doliny Starorobociańskiej, który przedtem był gajownią Lasów 7 Gmin. Niestety, włamywały się tam ustawicznie złodziejaski z Kościeliska i Witowa, niszcząc okna i drzwi, a nawet wyrывая deski z podłogi. Gdy w rok później Kompania założyła linię telefoniczną do tego obiektu, górale ukradli ją całą wraz ze słupami w przeciągu jednej nocy, ustanawiając rekord złodziejski na Podhalu. Wreszcie Towarzystwo dało za wygraną opuszczając ten dom, a złodzieje wynieśli dość szybko niemal wszystko, łącznie z cegłami z rozebranych pieców, dachem, werandą i co lepszymi belkami ze ścian.

Kompania dopomagała również Pogotowiu, uczestnicząc w jego wyprawach. A jesienią roku 1921 przystąpiła wraz z plutonem wojsk kolejowych z Krakowa do budowy Murowańca. Położono tor kolejki aż pod stoki Małego Kościelca, z którego wyłamywano małowidocznie

kilkutonowe bryły granitu, przewożąc je na specjalnych wózkach do miejsca budowy, którą ukończono w roku 1924. Na cyklopiach murach schroniska jest wprawdzie tablica poświęcona A. Asnykowi, a wewnątrz druga sławiąca ówczesnego prezesa Oddziału Warszawskiego PTT, nie ma jednak ani słowa o tym, że tej ciężkiej pracy dokonało wojsko górskie w cienkich drelichach i za przysłowiową łyżkę strawy, chuchające często w skostniałe dżonie.

W roku 1923 Oddziały Warszawski i powtórnie założony Lwowski, doprowadziły, nie bez oporów, do zasadniczej reformy Towarzystwa. W miejsce dawnego Wydziału utworzono obszerny Zarząd Główny, składający się poza prezydium krakowskim /nadal zwanym Wydziałem/ z przedstawicieli niemal wszystkich oddziałów, które uzyskały pełną osobowość prawną. Coroczne Walne Zgromadzenie zastąpił Zjazd Delegatów wszystkich oddziałów i sekcji, który ustalał i kontrolował działania Towarzystwa. Utworzono równocześnie Oddział Krakowski, który objął na własność schronisko przy Morskim Oku oraz Bibliotekę Górską. Dworzec Tatrzański i schronisko w Roztoce przejął Zarząd Główny, a schronisko w Pięciu Stawach nowo utworzony Oddział Zakopiański.

Nowe oddziały Towarzystwa tworzyły się już od roku 1921, kiedy powstały one w Poznaniu, Łodzi i Lwowie. Ten ostatni rozwinął się wydatnie, budując w okresie międzywojennym cztery schroniska w Gorganach i rozpoczynając publikację "Wierchów".

W roku 1922 Oddział Cieszyński ukończył i otworzył stylowe i duże schronisko pod szczytem Stożka jako pierwszą przeciwwagę schronisk niemieckich w Beskidzie Śląskim. Także restytuowany przed rokiem Oddział Babiogórski w Żywcu dokonał pierwszej rozbudowy schludnego domku Zapałowicza na Markowych Szczawinach, powiększając go o obszerną jadalnię. Oddział Pieniński odnowił szlak żółty na Sokolicę, a Oddział w Nowym Sączu przeprowadzał rozległe znakowania szlaków w Beskidach Nadpopradzkich, głównie pracą nowego przewodniczącego Feliksa Rapfa.

Sprawy graniczne z Czechosłowacją nie były już zaognione jak w latach 1919/20, ale stosunki były dość ozięble. Słowacy z Hviezdoslavem na czele uważali przyznanie Polsce przez Konferencję Ambasadorów blisko trzydziestu polskich wsi na Orawie i Zama-

gurzu za swoją porażkę, gdy zachodni Małopolanie twierdzili, że rezygnacja z plebiscytów pod naciskiem potrzeb wojennych w lipcu 1920 roku była przedwczesna. Krytykowano również niedopatrzenia przy ustalaniu granicy pod Babią Górą, gdzie przeciętą delimitacją Lipnicę Wielką trzeba było ratować odstępując dwie czysto polskie wsie podtatrzańskie - Głodówkę i Suchą Górę. Tamtejsi górale mówili z pewną goryczą, że "za kupę kamieni babiogórskich oddajemy nas Czechom".

Równocześnie pod egidą PTT trwała zacięta walka o Jaworzynę Spiską, czyli północne stoki Tatr Wysokich i Bielskich. Zarzucano później Waleremu Goetlowi, że niepotrzebnie zgodził się na propozycję prof. Domina z Pragi /podczas przypadkowego spotkania na szczycie Hawrani/, by zastąpić te swary - które zachodni alianci zwali żartobliwie "wojną alpinistów" - ustanowieniem wspólnego pogranicznego parku narodowego i prawdziwie liberalną konwencją turystyczną, zamiast nastawać o zwrot Jaworzyny i Podspadów powołując się na bardzo duże ustępstwa na Śląsku Zaolziańskim.

Konwencja Turystyczna pomiędzy obu państwami, wprowadzona w życie po podpisaniu tzw. Protokołów Krakowskich w roku 1925, zezwalała członkom PTT i KČST na dość głębokie przekraczanie granicy po wszystkich znakowanych szlakach oraz przejazdach drogowych i kolejowych w obszarze Tatr, Pienin, Beskidów Zachodnich i Karpat Wschodnich i pozostawanie po drugiej stronie granicy przez dłuższy czas. Zezwalała na przewożenie środków piatniczych własnego państwa, jak i żywności w rozsądnej ilości, a ograniczała tylko wyroby tytoniowe i alkoholowe. Na znakowanych szlakach nie obowiązywała odprawa celna, a rewizji osobistej /bardzo rzadko stosowanej/ mogły dokonywać patrole obu straży granicznych tylko w razie zupełnie uzasadnionych podejrzeń. Wprowadzono specjalne legitymacje w obu Towarzystwach, wizowane co roku przez starostwa i konsulaty.

Warto zaznaczyć, że w ostatniej fazie sporu o Jaworzynę strona polska proponowała wymianę tego obszaru za dwie zamagurskie wsie, mianowicie Kacwin i Niedzicę. Ale sprzeciwił się temu przewodniczący strony słowackiej, bardzo energiczny biskup Bleha.

#### XIV. ODDZIAŁY NIŻOWE - BIURO W KRAKOWIE - ODDZIAŁY W STANISŁAWOWIE I KATOWICACH - USUWANIE EKSPANSJI NIEMIECKIEJ

Powstawały kolejne oddziały PTT - w Kielcach, Wilnie, Jarosławiu. Nie odznaczały się wybitniejszą działalnością, im dalej od gór. Już wtedy zwracano uwagę starszym działaczom, że poza wyjątkami, niżowe obszary Polski lepiej pozostawić do działania Polskiemu Towarzystwu Krajoznawczemu.

Malą także działalność sekcji Towarzystwa, z wyjątkiem Sekcji Narciarskiej. Nie mogła jakoś zaktywizować się Sekcja Turystyczna, bo młodzi taternicy czuli się lepiej w energicznej Sekcji Taternickiej krakowskiego A.Z.S. pod przewodnictwem Mariana Sokołowskiego. Większość działalności Sekcji Ochrony Tatr i Przyrody Górskiej przejęła Państwowa Rada Ochrony Przyrody oraz Liga Ochrony Przyrody założona głównie przez PTT, które zainicjowało 30-groszowe nalepki LOP wklejane obligatoryjnie co roku do legitymacji członków.

Biuro Zarządu Głównego w Krakowie uwspółcześniło się dopiero pod koniec lat dwudziestych. Pracowało ono równocześnie dla zarządu Oddziału Krakowskiego /utworzonego z dawnego Wydziału T.T./, którego niemal wszyscy członkowie zasiadali także w Zarządzie Głównym, co niejednokrotnie przynosiło wątpliwe korzyści. Po płatnej sile przedwojennej prowadził je w godzinach wieczornych, oczywiście ochotniczo i nieodpłatnie, generalny sekretarz Towarzystwa Emil Stolfa, a w roku 1924 podjęła pracę absolwentka krakowskiej Akademii Handlowej, Helena Kocwówna.

Poza pięknym stołem obrad ofiarowanym swym wieloletnim dobrodziejom przez zakopiańską Szkołę Przemysłu Drzewnego, umeblowanie było stare i podniszczone, zamki biurek i szaf uszkodzone, wieloletnie archiwum nie uporządkowane, a cenna biblioteka górską ciągle oczekująca uporządkowania, które rozpoczęto dopiero w roku 1927.

Oddział w Stanisławowie, założony po raz drugi w roku 1923 rozwijał się szybko, otwierając w roku 1927 dość duże schronisko na Zaroślaku u podnóża Howerli, które w tym miejscu było już trzecim z kolei obiektem. Wspólnie z Oddziałem Czarnohorskim

prowadził także rozbudowę podniszczonego wojną dwupiętrowego Dworku Czarnohorskiego w Worochcie. Oddział ten pod przewodnictwem bardzo energicznego prezesa Antoniego Firicha, zajął w latach trzydziestych jedno z czołowych miejsc w Towarzystwie.

Oddział Górnos Śląski w Katowicach, utworzony w roku 1924, przejął od Lasów Państwowych piętrowy domek myśliwski na Przysiópiu baraniogórskim, który niegdyś służył najmniej udanemu z Habsburgów, Fryderykowi. Pod kierownictwem sekretarza Oddziału, bardzo pracowitego Antoniego Kęsy, obiekt ten wyremontowano w przeciągu niecałego roku na schronisko lepszego gatunku, znakując stamtąd zóżyty szlak zejściowy do Miłówki.

W tymże roku 1924 Oddział Babiogórski otworzył nowe schronisko dobudowane do gajowni dóbr żywieckich u podnóża Pilska, które przede wszystkim służyło wycieczkom narciarskim.

Lato roku 1925 zaznaczyło się w historii Towarzystwa otwarciem aż 3 schronisk: na Hali Gąsienicowej, na stokach Baraniej Góry i na Hali Waksmundzkiej opodal szczytu Turbacza. To ostatnie powstało niemal wyłącznym staraniem Kazimierza Sosnowskiego, który pomagał słabemu na ów czas Oddziałowi "Gorce" w Nowym Targu, wypychając komu się tylko dało 5-złotowe udziały, stylem Zapalowicza często dochodząc na miejsce budowy i zabiegając energicznie o choćby zupełnie nieduże subwencje.

Z początkiem czerwca tegoż roku 18-letni student UJ, Władysław Midowicz, przystąpił samotnie do odnawiania niemal znikłych znakowań w masywie Babiej Góry, także tycząc samowolnie nowe wejście na Diablak zwane Percią Akademików /K.Sosnowski nazywał je w swym przewodniku "Percią Taternicką"/, oraz kilka nowych szlaków. Widząc całkowity brak tabliczek drogowaskazowych Towarzystwa niszczonych ręką niemiecką, usunął on w przeciągu paru dni wszystkie tablice drogowaskazowe "Beskiden-Verein" /wypisane gotykiem w języku niemieckim/, zastępując je nowymi tabliczkami PTT. Był to początek usuwania BV ze wszystkich znakowanych szlaków w Beskidzie Wysokim i to bez pytania o zgodę Wydziału Wykonawczego Towarzystwa, choć przy prywatnym poparciu prof. Sosnowskiego. W kolejnych latach dołączyły do tej akcji oddziały PTT w Cieszynie, Katowicach i Bielsku, oczyszczając z

niemieckiej ekspansji większość Beskidu Śląskiego i Małego.

Gazety niemieckie na Śląsku ujadały niejednokrotnie, nazywając to "ograniczaniem swobód obywatelskich", a rocznik sprawozdawczy BV za rok 1940 pisał, że "w nielekkiej pracy podczas dwudziestoletniej opresji, Beskidenverein w ciężkich walkach z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim utrzymywał niemieckimi swoje schroniska".

W pracy tej, jak i w znakowaniu nowych szlaków w Beskidzie Wysokim i Małym, wybitnie zasłużył się Józef Merta, student UJ z Białej Krakowskiej.

#### XV. ROZWÓJ NARCJARSTWA ZACHODNIOBESKIDZKIEGO - SZLAK GŁÓWNY - TRZECIE SCHRONISKO W PIĘCIU STAWACH - ASOCJACJA SŁOWIAŃSKICH TOWARZYSTW TURYSTYCZNYCH

Lata dwudzieste naszego wieku zaznaczyły się wybitnym rozwojem narciarstwa w Beskidach Zachodnich. W Beskidzie Wysokim gospodarowało Koło Narciarzy przy Oddziale Babiogórskim w Żywcu, którego przewodniczący Józef Petrusiewicz wybudował własnym sumptem mały domek w Przegibku Raczańskim /993 m/, w późniejszych latach rozbudowany w schronisko, a to by wycieczki Koła miały punkt oparcia w tych zupełnie pozbawionych schronisk górach. Punktem skupiającym ruch większości narciarzy krakowskich stało się nowe schronisko na Turbaczu, szczególnie uczęszczane przez kursy narciarskie. W Beskidzie Śląskim była wcale czynna Sekcja Narciarska "Watra" przy Oddziale Cieszyńskim.

W roku 1928 ukazał się pierwszy polski przewodnik narciarski po Beskidach, dobrze ilustrowany, a kształtem i układem wzorujący się w jakimś stopniu na przewodniku narciarskim po Tatrach M. Zaruskiego z roku 1912. W trzy lata później wydano przewodnik



narciarski po okolicach Zwardonia i grupie Wielkiej Raczy. Zwardoń, posiadający szczególnie dobre warunki śniegowe, usiłowano rozbudować w owych latach w większy ośrodek sportów zimowych. W soboty i święta kursowały do niego specjalne pociągi narciarskie z Katowic i Warszawy z numerowanymi leżankami i wozami bufetowymi.

Jeszcze w roku 1924. Kazimierz Sosnowski, zwany "ojcem turystyki beskidzkiej", przedłożył Towarzystwu projekt Szlaku Głównego, biało-czerwono-białego, który od śląskiego Ustronia miał przebiegać Beskidami Zachodnimi aż do Krynicy, z przerwą między Osielcem i Rabką. Posiadał on 3 warianty niebieskie, a to Raczański od Baraniej Góry przez W. Raczę na Pilsko, Podhalański od Policy przez Żeleźnicę na Turbacz, oraz Pieniński od Lubania przez Pieniny Właściwe i Małe na Obidzę w Beskidzie Nadpopradzkim. Wszystkie szlaki boczne miały się odznaczać tylko jednym białym paskiem dołączonym do koloru.

Całość Głównego Szlaku Beskidzkiego wyznakowały oddziały w latach 1925-1932, łącząc projektowaną przerwę. Projekt szlaków bocznych z jednym białym paskiem nie utrzymał się.

Poczynając od roku 1925 twórca Orlej Perci, ks. W. Gadowski, zajął się kolei szlakami Pienin Właściwych, dopomagając w ten sposób niezbyt aktywnemu po wojnie Oddziałowi Pienińskiemu. Przy swej energii i niewątpliwie najlepszych chęciach, a także ponosząc większość kosztów z własnej kieszeni, pokrył on ten maleńki górotwór nadmierną ilością znakowanych szlaków, których część zlikwidował w latach trzydziestych Pieniński Park Narodowy, zamieniając w ścisły rezerwat całą dolinę Potoku Pienińskiego. Zamknięto tym samym ciekawą Skalną Perć wiodącą na Górę Zamkową, pozostawiając w ścianie Wilczej Skały nad rzeką rdzewiejące ubezpieczenia tzw. galerii.

Druga połowa trzeciej dekady wieku zaznaczyła się wzmożoną działalnością znakarską także w Tatrach. Zaangażowani przez Towarzystwo studenci UJ pod przewodnictwem Stanisława Kowenickiego, w okresie 1924-1927 przeznakowali wzorowo i na białym podkładzie niemal wszystkie szlaki tatrzańskie /otoczenie Hali Gąsienicowej odnowił Stefan Makarczyk z Warszawy/, po czym PTT

dokonało ostatecznego podziału gospodarki w Tatrach. Rejon Morskiego Oka otrzymał Oddział Krakowski, Pięciu Stawów i Roztoki /po Wodogrzmoty/ Oddział Zakopiański, Hali Gąsienicowej Oddział Warszawski, całe Tatry Zachodnie Sekcja Narciarska, a ścieżki reglowe zatrzymała dla siebie Komisja dla Robót w Górach, która później zmieniła nazwę na Międzyoddziałową Komisję Tatrzańską.

W roku 1926 Oddział Górnośląski otworzył, po wydatnej rozbudowie dawnej gospody uzdrowiska w Ustroniu, schronisko pod szczytem Równicy. W rok później nowe schronisko uzyskała Dolina Pięciu Stawów, drewniany budyneczek w stylu podhalańskim zaprojektowany przez Karola Stryjeńskiego. Wykańczano go przez kilka lat, a trudności finansowe Oddziału Zakopiańskiego starali się pomniejszyć J.Oppenheim, W.Ziętkiewicz, Z.Rittersschild i in., wynosząc w plecakach cegłę spod Siklawy na budowę pieców. Stary barak drugiego schroniska zużyto na opał podczas zimowych badań klimatologicznych IG UJ w latach 1929/30.

W tymże czasie, głównie staraniem II wiceprezesa W.Goetla, PTT doprowadziło do utworzenia Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych /Polska, Czechosłowacja, Jugosławia, Bułgaria/. Związek ten udzielał wzajemnych zniżek noclegowych swym członkom, a sekretariat jego zmieniał miejsce działania co kilka lat wedle ustalonej rotacji. Odbywano w ów czas zjazdy zarządu Asocjacji, co później krytykowano ze względu na koszty podróży, odbywanych zazwyczaj wraz z żonami.

W latach 1925 i 1928 PTT usiłowało stworzyć jakiś modus vivendi z "Beskiden-Verein", proponując przystąpienie do Towarzystwa na prawach autonomicznego oddziału. Ale BV albo nie przybywał na konferencje porozumiewawcze, nadsyłając wykrętne odpowiedzi, albo też żądał prawa znakowania szlaków i budowania schronisk od Czantorii po Babią Górę itp. Główną opozycję przeciw tego rodzaju żądaniom stanowili K.Sosnowski i W.Midowicz, a łagodząco usiłowali wpływać W.Goetel i Stanisław Merta z Białej, a także III wiceprezes Towarzystwa, Wacław Majewski.

## XVI. REKONSTRUKCJA BIBLIOTEKI GÓRSKIEJ - UJAWNIONE NADUŻYCIA - NOWE OBIEKTY W KARPATACH - SPÓR O KOLEJKĘ NA KASPROWY

Z początkiem listopada 1927 r. W. Midowicz, który ze zdziwieniem i niechęcią przyglądał się piramidce książek usypanej na podłodze ponurej salki bibliotecznej przy ul. A. Potockiego 4, postanowił uporządkować Bibliotekę w całym tego słowa znaczeniu. Bo ta biblioteka nie ma szczęścia, wyjaśniała sekretarka. Przy mierzali się do niej po kolei profesorowie Król, Sosnowski, Sykutowski, a ostatnio Dropiowski i każdy porzucał tę mało wdzięczną pracę po kilku miesiącach. Dotyczyło to również starego archiwum Towarzystwa, gdzie pęki akt zbierały kurz od dziesiątków lat.

Nowy bibliotekarz miał zwyczaj decydowania na własną rękę. Pozbył się zajmujących miejsce zapasów dawnego "Pamiętnika", przesyłając je w wielkich skrzyniach do Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem, zamówił pojemne i dość drogie szafy, kazał odmalować lokal, w którym wysiadywał do późnych godzin nocy zakładając katalogi z prawdziwego zdarzenia i znacząc wszystko nową pieczętą z dużą swastyką na wzór używanej przez pułki podhalańskie, co za okupacji przyczyniło się do nie wysłania tych książ na przezmiał. I zamówiwszy papier firmowy typu angielskiego, zdołał odnowić wymianę publikacji niemal ze wszystkimi towarzystwami górskimi świata.

Podczas tych nocnych posiadów młodziutki działacz począł przeglądać księgowość Zarządu Głównego i Oddziału Krakowskiego, w czym była mu pomocna nabyta niedawno specjalizacja w lwowskiej Akademii Handlowej. Po kilkunastu rozmowach z dochodzącym co wieczora księgowym, bibliotekarz doszedł do przekonania, że skarbnik Towarzystwa wspomaga się funduszami PTT prawdopodobnie na większą skalę. Sprawa nie była łatwa, bo starsi, osiwiali członkowie obu zarządów wzdrygali się na samą myśl o możliwości takiego nadużycia i trzeba było prowadzić tę akcję dyskretnie jeszcze przez parę lat czekając na sprzyjające okoliczności.

W związku z odejściem W. Midowicza na zimowe badania naukowe w Tatrach Wysokich, prace rekonstrukcyjne dokończył ostatecznie Witold Paryski, wraz z uporządkowaniem starego archiwum T.T.

Przez osiem lat od reorganizacji Towarzystwa utworzyło się 12 nowych oddziałów, a to w Jarosławiu, Tarnowie, Bochni, Rabce, Krynicy, Sanoku, Stryju, Drohobyczu, Bielsku, Krakowie /Oddział Akademicki/, Sosnowcu i Jordanowie. Prawdziwie czynnych okazało się siedem spośród nich, a najbardziej ruchliwych i wartościowych działaczy pozyskały zespoły w Rabce, Drohobyczu i Bielsku.

Stary Oddział Babiogórski, wzmocniony bardzo silnym kołem w Białej, wybudował i otworzył w przeciągu dwóch lat duże i piękne schronisko na Hali Mizłowej pod szczytem Pilska, zaopatrzone w centralne ogrzewanie, turbinę oświetleniową z akumulatorem i pełne urządzenia sanitarne. Jego nieduże Koło w Wadowicach wręcz niezwykłym wysiłkiem Czesława Panczakiewicza otworzyło w roku 1932 nieduże schronisko pod szczytem Leskowca, a Koło w Zwardoniu uruchomiło w roku 1928/29 w miejscowych domach góralskich tzw. zbiorową stację narciarską, liczącą blisko sto łóżek przydzielanych po przybyciu każdego pociągu od razu na stacji kolejowej, skąd czekający gońcy odprowadzali narciarzy na miejsce. Innym pomysłem Oddziału Babiogórskiego było dobudowanie do góralskiej chaty na Żarze nad przełomem Soły stacji turystycznej, która po 30 latach wzorowego prowadzenia przechodziła na własność posiadaczy domu. Nastąpiło to w roku 1958.

Jesienią roku 1930 Koło Akademickie przy Oddziale Krakowskim /restytuowane w r. 1929/ przekształciło się w samodzielny oddział, który wiosną następnego roku wystąpił na Zjeździe Delegatów w Bielsku z wnioskami żądającymi uzdrowienia gospodarki pieniężnej PTT. Jego przewodniczący w dłuższym przemówieniu popartym przez delegata Oddziału Babiogórskiego, zwrócił uwagę Zjazdu na wiele dziwnych nieprawidłowości w księgach, na zakryte lokowanie funduszy, a także na fakt, że sześćoletnie oprocentowania bankowe, przy łącznym obrocie Towarzystwa ponad sto dwadzieścia tysięcy złotych, wyniosły zaledwie złotych sześćset kilkanaście. "Przykro mi - oświadczył - że referuję to pod niezrozumiałą nieobecnością skarbnika /kupca Stefana Porębskiego/, ale Oddział Akademicki postanowił nie czekać do następnego Zjazdu".

Reakcją Zjazdu odtworzyła wyczekująca cisza i tylko II wiceprezes Zarządu Głównego wystąpił z mową obronną, ostro krytykując wystąpienie obu delegatów i ostrzegając, że dla przedstawi-

ciela Oddziału Akademickiego to oskarżenie nieobecnego skarbnika może się przykro skończyć. Ale W. Midowicz z uśmiechniętą miną stenografował to przemówienie, oświadczając w odpowiedzi, że Oddział Akademicki nie wycofa ani jednego ze swych zastrzeżeń i prosi Zjazd Delegatów o przybranie do Głównej Komisji Rewizyjnej przedstawiciela Oddziału Babiogórskiego i zarazem zaprzysiężonego biegłego księgowego, Michała Augustynowicza, a także o przeprowadzenie przez GKR wyrывkowej kontroli oddziałów i kół Towarzystwa, niezależnie od ich lokalnych komisji rewizyjnych. Zjazd uchwalił te wnioski bez dyskusji.

Po kilku miesiącach, z górą 60-letni prezes PTT, Wacław Czerwiński, zaprosił na dłuższą rozmowę do swego biura przewodniczącego Oddziału Akademickiego, prosząc o szczegóły przeprowadzonych przez niego kilkuletnich badań. "Proponuję - rzekł W. Midowicz - by zażądać od skarbnika natychmiastowego przekazania wszystkich czterech książeczek oszczędnościowych, a więc Zarządu Głównego i Oddziału Krakowskiego. Bowiem od pięciu lat przedstawia on dorocznej komisji rewizyjnej tylko niektóre z nich, oczywiście pod pozorem roztargnienia, przelewając na nie kilkanaście dni wcześniej z nie okazanej połowy brakujące w kasie kwoty".

Następnego dnia prezes PTT idąc do biura wstąpił do sklepu skarbnika i zażądał przekazania mu wszystkich książeczek bankowych, ostrzegając, że jeśli do godziny 14.30 książeczek nie otrzyma lub nie wszystkie, powiadomi natychmiast prokuratora. S. Porębski wykonał to polecenie już o godz. 13.00, powiadamiając równocześnie, że w jego kasie brakuje 20 tysięcy złotych. Przeprowadzone przez biegłych zbadanie księgowości za cały blisko 7-letni okres wykazało, poza niezwykłym i rozmyślnie preparowanym chaosem, brak 31.700 zł.

Następne posiedzenie Wydziału Wykonawczego PTT było bardzo ożywione. Wykluczony z PTT skarbnik proponował pisemnie wieloletnią spłatę sprzeniewierzonej kwoty plus oprocentowanie ratami miesięcznymi po 500 zł oraz gwarancję w postaci obrazów starych mistrzów i perskich dywanów. Zgadzała się na to większość Wydziału, niektórzy jednak żądali przekazania sprawy prokuraturze. Ostatecznie przeważała chęć odzyskania zdefraudowanej kwoty,

która wraz z kosztem biegłych stanowiła równowartość średnich rozmiarów schroniska.

Kolejny Zjazd Delegatów był gęsto obsadzony. Po raz pierwszy w dziejach Towarzystwa otwierał debatę nad rocznym sprawozdaniem 25-letni delegat Oddziału Akademickiego. Powiedział on: "Na poprzednim zjeździe byliśmy ostrzegani ze strony niektórych członków Prezydium, że ciskamy kalumnie na starych i zasłużonych członków Towarzystwa. A ja, spędziwszy przez kilka lat niejedną noc na wertowaniu chaosu w księgowości, nie wątpię, że ten "stary i zasłużony działacz" defraudował grubsze sumy z powierzonej mu kasy społecznej by się zabawiać na boku. Oddział Akademicki, który reprezentuję, sądzi że to już najwyższy czas by uwspółcześnić administrację Towarzystwa, a także dokonać zmiany Wydziału wykonawczego, dziękując serdecznie jego zasłużonemu prezesowi, który ostatecznie przyszpilił złodzieja".

Trudno dziś odtworzyć całość przemówienia. Zakończyły je rzęsite oklaski, zwłaszcza zamiejscowych delegatów, i dość demonstracyjne gratulacje. Po przerwie południowej i krótkiej naradzie Wydział Wykonawczy ustąpił in corpore.

Należy dodać, że kilka miesięcy wcześniej i w obawie przed zapowiadzaną kontrolą GKR z Krakowa, sekretarz i równocześnie skarbnik jednego z zamożnych kół zgłosił macierzystemu oddziałowi, że pobrał z kasy koła 18 tysięcy złotych, na które daje gwarancję w postaci dolarowego ubezpieczenia na życie i pisemną umową zobowiązuje się spłacać po 250 złotych miesięcznie. W przeciwieństwie do b.skarbnika z Krakowa, dotrzymał on swych zobowiązań aż do wybuchu wojny.

Był jeszcze jeden wypadek przywłaszczenia kwoty 5 tysięcy złotych przez płatnego sekretarza Oddziału Bielskiego, który z wyroku sądu spędził dwa lata w więzieniu.

W Karpatach wyrastały nowe schroniska z zadziwiającą szybkością, szczególnie na zachodzie. Oddział Bielski, przy pomocy Oddziału Babiogórskiego wznosił duże, murowane i komfortowe schronisko w Zwardoniu /1932/, wykończył odkupione od spółki góralskiej schronisko na Wielkiej Raczy /1934/, a jego Koło w Dziedzicach dobudowało nieduże stylowe schronisko do letniego domku po Józefie Pietrusiewiczzu /1936/. Oddział w Rabce otworzył



w roku 1932 dwa nowe schroniska, a to na Wielkim Luboniu oraz na Starych Wierchach, gdzie rozbudowano starą gajownię. Do jego wybitnych działaczy należeli dwaj księża - Justyn Bulanda i Jan Surowiak, którzy w starym zabytkowym kościółku założyli Muzeum Regionalne, oraz Jerzy Czoponowski, Stanisław Borkowski i in. W roku 1934 otwarto nowe schronisko na Jaworzynie Krynickiej, głównie staraniem i energią Stanisława Graby-Łęckiego i w tymże roku otwarto pomysłami i pracą Sekcji Narciarskiej PTT w Zakopanem schronisko na Hali Pyszej, rozbudowane po cichu ze starego szałasów niegdyś dóbr zakopiańskich.

Warto przypomnieć, że w roku 1933 łotr kłusownik z nowotarskiego Kowańca podpalił późną jesienią chwilowo zamknięte schronisko pod szczytem Turbacza, czym chwalił się później po pijanemu w karczmie, mówiąc że w ten sposób pozbył się świadków swego niecznego procederu. Ale dzięki energii Zygmunta Mieszkowskiego otwarto w r. 1936 duże schronisko, które w czasie okupacji zniszczyli Niemcy.

W Karpatach Wschodnich bardzo czynny był Oddział Stanisławowski, który wybudował w tym okresie /poza 2 schroniskami na Borewce/ aż 3 schroniska w Gorganach Wschodnich, a to na Połoninie Niżnej pod Doboszanką /1929/, na Przełęczy Tatarskiej /1932/ i na Połoninie Baraniej pod Chomiakiem, im. M.Orłowicza /1934/. Oddział Drohobycko-Borysławski pod przewodnictwem Mariana Kozłowskiego, otworzył w jednym roku 1930 dwa zagospodarowane obiekty, a to pod Ciuchowym Działem w Orowie i w dolinie Majdańskiego Potoku pod Czarną Górą. Wreszcie Oddział Lwowski pod przewodnictwem Adama Lenkiewicza, uruchomił kolejne schronisko w gorgańskiej dolinie Świcy /1932/, w dolinie Mołody /1934/ oraz na Przełęczy Wyszowskiej /1936/. Oddział Sanocki otworzył w roku 1937 schronisko w Łupkowie.

W porównaniu z innymi, niezbyt ekonomiczna wydawała się w latach trzydziestych gospodarka niektórych dużych oddziałów, zwłaszcza Warszawskiego i Górnośląskiego, które zamiast budować kolejne schroniska, choćby na Hali Kondratowej czy na Skrzyszcznem, zużywały swe dochody na inwestycje nie pierwszej potrzeby. Szczególnie kierownictwu oddziału stołecznego miano za złe

wpuszczanie kłaki w skalne koryto dopływu Suchej Wody i to z obiektu tak reprezentacyjnego.

W latach trzydziestych wzrosła kultura obsługi, szczególnie w schroniskach z trudniejszym dostępem /Stara Roztoka, Markowe Szczawiny, Hala Miziowa/ i wzrastała liczba gospodarzy z wykształceniem i pełną znajomością gór. Obowiązywała absolutna rezerwacja noclegów dla członków PTT i uprawnionych towarzystw zagranicznych i bezwzględnie przestrzegano ciszy po godzinie 22.00. Z wyjątkiem ścisłu podczas niektórych świąt, pożywienie podawano do stołu o każdym czasie dnia i nie wolno było odmówić noclegu późniejszym popołudniem i w złej pogodzie, choćby spędzanego na krześle w sali jadalnej. Schronisko na stokach Babiej Góry poszło jeszcze dalej, wprowadzając wieczorne patrole narciarskie podczas złej pogody.

Były to lata, w których ilość członków Towarzystwa przekroczyła 19 tysięcy /w 1933 r./, w czym dopomagały uprawnienia Konwencji Turystycznej z Czechosłowacją. Ale zbliżały się już chudsze czasy, będące wynikiem zajadłego sporu PTT z Polskim Związkiem Narciarskim o kolejkę na Kasprowy Wierch. Jej głównym promotorem był wieloletni prezes PZN, Aleksander Bobkowski, skądinąd zasłużony działacz narciarski, który w prywatnych rokowaniach zgadzał się na przeniesienie tej inwestycji na Rakoń w Dolinie Chochołowskiej, ale pod warunkiem połączenia się PTT z PZN w Polskie Towarzystwo Karpackie. To oczywiście nie odpowiadało większości prezydium Towarzystwa, a na dodatek przewodniczący Państwowej Rady Ochrony Przyrody, Władysław Szafer nie zgadzał się na tego rodzaju inwestycje gdziekolwiek w Tatrach. Chciał bronić wszystkiego i jak często bywa w tego rodzaju wypadkach - przegrał, a to w związku z dość wysokimi koligacjami A. Bobkowskiego.

Charakterystyczną cechą sporu o kolejkę było dość pozytywne ustosunkowanie się do niej dość dużej liczby przedstawicieli szeregowej turystyki karpackiej. Nawet wśród działaczy turystycznych zdania były podzielone. Dopiero szczegóły planu tzw. bobkostrady z Morskiego Oka graniami na Kasprowy wywołały niemal powszechny sprzeciw.

W rezultacie PTT utraciło zimowe zniżki kolejowe /33%/, a PZN

uzyskał takie same zniżki letnie. Utracono także, zresztą nie nazbyt wysokie subwencje rządowe, które Wydział Turystyki przy Ministerstwie Komunikacji przelewał odtąd na Przemyskie Towarzystwo Narciarzy /A.Bobkowski był wiceministrem komunikacji/. Ta sprawa zniżek jak i depresja ekonomiczna spowodowały spadek liczby członków PTT, którzy w pewnej ilości przeszli do PZN.

Należy przyznać, że niektórzy inne inwestycje projektu A.Bobkowskiego, jak kolejki na Gubałówkę i Górę Parkową w Krynicy oraz schroniska we wschodnich Bieszczadach, były pożyteczne dla turystyki tak zimowej, jak i letniej i przyczyniały się do rozwoju niektórych miejscowości.

## XVII. NOWE ODDZIAŁY PTT - FUNDUSZ NAUKOWY ODDZIAŁU AKADEMICKIEGO - KLUB WYSOKOGÓRSKI - RATOWNICTWO - UPOWSZECHNIENIE NARCIARSTWA TURYSTYCZNEGO

W tymże okresie tworzyły się nowe oddziały PTT - w Radomiu, Kaliszu, Sosnowcu, Gorlicach, Częstochowie i w Kosowie. Zasłużył się szczególnie ten ostatni, utworzony w roku 1935 z Koła przy Oddziale Czarnohorskim, bo w przeciągu czterech lat otworzył 6 niedużych schronisk w Czywczynach i Beskidzie Huculskim, zwanym we wschodniej partii Beskidem Hryniewskim. Głównymi jego działaczami byli Oskar Frieser /przewodniczący/, Zygmunt Kaleta i in. Oddział w Gorlicach zagospodarowywał zachodnią część Beskidu Niskiego przedłużając jego grzbietami Główny Szlak Beskidzki. Jego wybitnym działaczem był Stanisław Gabryel, później twórca schroniska na Magurze Małastowskiej. Oddział w Sosnowcu, zwany także Oddziałem Zagłębia Dąbrowskiego, zajął się jako pierwszy uroczym pasmem skalic Jury Krakowsko-Wieluśińskiej, budując schronisko w Bydlinie. Kolejnym oddziałem, który działał w Jurze budując schronisko w Złotym Potoku przeniesione później do Janowa,

był Oddział Częstochowski.

Podziwu godna stała się działalność maleńkiego oddziału w Jordanowie, który przy współpracy gminy w Sidzinie otworzył w roku 1936 na Sidzińskich Pasionkach /błędnie zwanych Krupową Halą/ pod szczytem Policy, drobnych rozmiarów schronisko. Zasłużyli się głównie Leon Feit oraz wójt gminy Sidzina.

Krakowski Oddział Akademicki, poza znakowaniem nowych szlaków na grzbietach i południowych stokach Zasolskich Gór oraz współurządzaniem wnętrza rabczańskiego schroniska na W.Luboniu, utworzył w roku 1932 "Fundusz dla badań naukowych w Karpatach" i aż do swego rozwiązania wskutek wydania kagańcowej ustawy o stowarzyszeniach akademickich, subwencjonował szereg badań geograficznych na górskich obszarach. Fundusz ten przejęty z kolei przez macierzysty Oddział Krakowski, kontynuował wspieranie badań rozszerzonych także na inne działy przyrodnicze, aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Wegetująca przez lata dwudzieste Sekcja Turystyczna Towarzystwa utworzyła w roku 1935, wraz z Kołem Wysokogórskim przy Oddziale Warszawskim i krakowską Sekcją Taternicką AZS, Klub Wysokogórski PTT, którego pierwszym przewodniczącym został Marian Sokołowski. Kontynuując inicjatywy swych poprzedników, klub rozwinął wyprawy pozaeuropejskie, dokonując pierwszych wejść na najwyższe szczyty andyjskie - Mercedario /6.800 m/ i Ojos del Salado /6.870 m/, a tuż przed drugą wojną zdobył w Himalajach Nanda Devi Wschodnią /7.430 m/. W tych latach trzydziestych zorganizowano wyprawy także w góry Afryki /Wysoki Atlas i Ruwenzori/ oraz na Svalbard /Spitsbergen/ i w góry Kaukazu.

Tym samym Klub Wysokogórski wprowadził polski alpinizm na światową arenę, a w kilkadziesiąt lat później wszedł do himalajskiej czołówki światowej. Wśród jego wybitnych członków znaleźli się Stefan Bernadzikiewicz, Jakub Bujak, Bolesław Chwaściński, Jan K.Dorawski, Adam Karpiński, Stefan Osiecki, Witold Paryski, Jan A.Szczepański, Justyn T.Wojsznis i wielu innych. Brakło wśród nich może najwybitniejszego taternika okresu międzywojennego, Wiesława Stanisławskiego, który u początku lat trzydziestych zginął potrącony przez towarzysza na ścianie Kościółka w Dolinie Batyżowieckiej.

Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe od początku ściśle związane z Towarzystwem, weszło w jego ramy jako Sekcja Ratunkowa pod koniec lat trzydziestych. Już od pierwszej wojny światowej kierował jego wyprawami Józef Oppenheim, a Mariusz Zaruski pozostał jako honorowy naczelnik i prezes. Wśród rozlicznych wypraw międzywojennych najcięższa technicznie była zimowa wyprawa po zwłoki Wincentego Birkenmajera pozostawione na Galerii Gankowej przez Grońskiego, który mimo wyczerpania zdążył przewinąć się przez Przełęcz Rumanową na południową stronę, by zaalarmować oba Pogotowia. Wyprawę tę jeszcze po latach wspominali z niechęcią najodważniejsi ratownicy.

Poczynając od głośnej katastrofy narciarskiej pod szczytem Babiej Góry oraz kursu w Zakopanem dla wszystkich gospodarzy schronisk, poczęło się tworzyć ratownictwo ogólnokarpackie. Wszystkie schroniska zaopatrywano w pełne zestawy apteczne, ratunkowe i środki transportowe, a ich gospodarze lub pomocnicy musieli posiadać ukończone kursy ratownicze. Administrację całego karpackiego ratownictwa przejęła zakopiańska Sekcja Ratunkowa OZPTT.

Narciarstwo turystyczne w drugiej połowie okresu międzywojennego rozwijało się najwydatniej w Beskidach Zachodnich, a z kolei w Karpatach Wschodnich. W samym Zakopanem z przyległościami przeważał coraz widoczniej kierunek sportowy, a w głębi Tatr widziało się coraz częściej starszych narciarzy, w większości spoza Skalnego Podhala. Ilość sekcji narciarskich przy oddziałach PTT wzrosła w roku 1936 do dwudziestu czterech, a ilość zorganizowanych przez nie wycieczek i rajdów w jednym tylko sezonie 1937/38 wynosiła 297. Sekcje w Żywcu, Cieszynie, Białej i Bielsku zapoczątkowały rozdawnictwo nart wśród najuboższej młodzieży góralskiej. Czyniło to również Towarzystwo Krzewienia Narciarstwa powstałe z inicjatywy PZN.

Zakopiańska Sekcja Narciarska, głównie pomysłem i rękoma J. Oppenheima, znakowała w późniejszych latach trzydziestych specjalne turystyczne szlaki narciarskie - normalnymi znakami przekreślonymi pośrodku tym samym kolorem. Szlaki wybrane w tym celu odznaczały się łagodniejszymi spadkami i brakiem ostrych skrętów, a przez otwarte partie prowadzili narciarzy tyczki ze strzaškami.

Należy podkreślić, że Towarzystwo nigdy nie było przeciwne sportowemu kierunkowi narciarstwa /biegi, skoki, sztafety/ uprawianemu wraz czy obok kierunku turystycznego, czego przykładem byli znani działacze uprawiający oba kierunki. Natomiast widząc następstwa tak fizyczne, jak i psychiczne wyłącznego uprawiania tzw. turystyki zjazdowej, opowiedziało się w późniejszych latach przeciw manii zjazdowej przy pomocy kolejek górskich.

#### XVIII. SCHRONISKO NA PRZEHYBIE - PTT W NIEŁASCE - ZMIANY GRANICZNE W ROKU 1938 - DRUGA WOJNA ŚWIATOWA I ZNISZCZENIA W KARPATACH

Pod koniec roku 1938 Oddział "Beskid" w Nowym Sączu otworzył na Przehybie schronisko, o którego wybudowanie członkowie wszystkich jego zarządów zabiegali już od lat trzydziestu. Główną przeszkodą w okresie międzywojennym było uzyskanie parceli budowlanej z wystarczającą ilością gruntowej wody. Sprzedaży udanej pod tym względem części na Hali Przehyba, odmawiała łemkowska gmina Szlachtowa pod hasłem "ani piędzi ziemi Lachom!". Wreszcie po dłuższych pertraktacjach uzyskano zgodę na sprzedaż parceli na przylegającym obszarze dużej własności.

Od dni ostrego sporu o kolejkę na Kasprowy Wierch Towarzystwo nie mogło już liczyć na wydatne poparcie instytucji rządowych, także w dziale ochrony przyrody i krajobrazu tatrzańskiego. W tym czasie poczęły się mnożyć w Tatrach Zachodnich gospody góralskie - dwie w Dolinie Chochołowskiej, jedna w Dolinie Starej Roboty /prywatne schronisko/, jedna w Dolinie Strążyskiej i jedna na Hali Gąsienicowej, gdzie już istniało także schronisko współwłaścicieli z gospodarzem J. Bustrzyckim, w czym i PTT miało przymusowy udział. Ponadto wzrastało pokątne kupczenie w szafa-



sach, zwłaszcza na Hali Gąsienicowej i Rusinowej Polanie. Dalszy wzrost tego rodzaju prywatnej inicjatywy szczególnie zagrażał przyszłości Hali, czemu PTT starało się zapobiec od dawna, wykupując jak najwięcej udziałów w halach by uzyskać z czasem decydujący głos na zebraniach współwłaścicieli.

W ostatnich latach przed drugą wojną irredenta niemiecka poczyniała wślizgiwać się do schronisk Beskidu Wysokiego jako kolejni dzierżawcy. I tak schroniska na Pilsku i Babiej objęli ludzie gorąco polecani przez skarbnika Oddziału Babiogórskiego PTT, który w kilka tygodni po zajęciu Żywca wdział mundur SS. Dzierżawca na Hali Miziowej, niejaki Albert Rudolf z Bielska, już w drugiej połowie września 1939 podpisał reichsliste i był mężem zaufania BV. Już od roku 1938 tworzył on zgraną szajkę z właścicielem prywatnego schroniska na Hali Rysiance, Gustawem Pustelnikiem z Bielska, agentem Abwehry, który dostarczył szczegółów o brakach technicznych nie dokończonych fortów pod Węgierską Górką, oraz z gospodarzem schroniska BV na Hali Lipowskiej, Alojzym Wagnerem, który późną jesienią prowadził w okolicy ćwiczenia dywersji bielskiej, a później był wiceszefem gestapo w Bielsku. Tu warto zauważyć, że Pustelnika uratowało od rozebrania jego "prywatnego domu" na rozkaz starostwa żywieckiego /brak właściwej licencji budowlanej i kilkakrotne lekceważenie poleceń zaprzestania budowy/ - Tatrzańskie Towarzystwo Narciarzy PZN z Krakowa, które naiwnie udzieliło tej budowli swego szyldu, pobierając od jej właściciela dość symboliczną kwotę dzierżawną.

Po ponownym objęciu Zaolzia w roku 1938 Oddział Cieszyński PTT przejął część tamtejszych schronisk KČST, a reszta przypadła Towarzystwu "Beskid Śląski" w Orłowej, które posiadało od kilku lat swe własne schronisko na Kozubowej. W dolinie Jałowca pod Babią Górą granica została przesunięta po Szlak Główny przebiegający wielkim skrótem z Głuchaczek na Przełęcz Jałowiecką, a także powróciły do ojczyzny dwie podtatrzańskie wsie Głodówka i Sucha Góra, oraz Jaworzyna Spiska wraz z Podspadami i główną granią Tatr Spiskich i Bielskich.

W przededniu drugiej wojny światowej Polskie Towarzystwo Tatrzańskie mogło już spoglądać z pewnym zadowoleniem na dokonane

przez kilkadziesiąt lat prace w górach. 48 zagospodarowanych schronisk, 4.717 kilometrów znakowanych szlaków, ponad 23 tysiące stron druku różnych wydawnictw, w tym 55 tomów "Pamiętnika" i "Wierchów" oraz 29 roczników "Taternika", a także 18 map najbardziej uczęszczanych obszarów karpackich dowodziły, że czas ubiegły nie został zmarnowany.

Działalność 20 oddziałów gospodarujących w górach uzgadniały 4 komisje międzyoddziałowe - dwie Zachodniobeskidzkie, Tatrzańska i Wschodniokarpacka. Szczególnie zajmowały się one przydzielaniem terenów gospodarzenia nowym oddziałom, a także jednostkom silniejszym, w miarę słabnięcia działalności innych. Decydowały o potrzebie znakowania nowych szlaków i o rozbudowie niektórych schronisk. Były uzgadniającymi i prawdziwie pożytecznymi instytucjami, z których uchwałami liczył się w całości Zarząd Główny PTT.

Po zajęciu II Rzeczypospolitej przez najeźdźców, Beskidenverein przejął wszystkie schroniska PTT po Pilsko i Leskowiec włącznie, a schroniskami położonymi dalej na wschód zarządzał wydział sportów i czegoś tam jeszcze przy tzw. Generalnym Gubernatorstwie w Krakowie. Niektórych przedwojennych dzierżawców pozostawiono jako powierników, oczywiście po podpisaniu folkslisty. Obszar Zakopanego z przyległościami i Tatr Polskich zamknięto dla polskich przyjezdnych. Schronisko "Leśnik" pod szczytem Diablaka objął Słowacki Klub Turystów i Narciarzy, bo polskie części Zamagurza Spiskiego i Orawy hitleria ofiarowała faszyzującej "republice proboszczów" za pomoc udzielaną niemieckim dywizjom uderzającym na Polskę przez Zachodnie Karpaty. Biuro Zarządu Głównego w Krakowie przejął Niemiecki Związek Alpejski, a kierownikiem jego został sprzyjający w jakimś stopniu austriacki działacz alpejski.

W roku 1944, podczas walk z partyzantami, Niemcy spalili schroniska PTT na Policy, Starych Wierchach, Turbaczu, Przehybie i Jaworzynie Krynickiej, a w Tatrach schronisko narciarskie na Pysznnej oraz schronisko Warszawskiego Klubu Narciarzy PZN na Polanie Chochołowskiej i dwa schroniska prywatne.

W mordowniach hitlerowskich ginęli działacze Towarzystwa, a lista ofiar opublikowana przez "Wierchy" w roku 1947 była długa.

Charakterystyczną rzeczą było stanowisko wieloletniego prezesa Beskidenverein'u, renegata E.Stonawskiego /syna zamożnego górala z Brennej/, który podczas okupacji nie denuncjował nikogokolwiek i dlatego po deklaracji lojalności pozostawiono go po wojnie w Bielsku, co zawdzięczał głównie przewodniczącemu tamtejszego trybunału weryfikacyjnego, a równocześnie prezesowi Oddziału Babiogórskiego.

#### XIX. NAPRAWA ZNISZCZEŃ WOJENNYCH - UTRATA DZIAŁACZY - ODDZIAŁY I SCHRONISKA SUDECKIE - JUBILEUSZ

Jeszcze przed zakończeniem drugiej wojny światowej wyruszyli w Beskiły Zachodnie dwa zespoły dawnych działaczy Towarzystwa, by ratować schroniska /także poniemieckie/ przed zrabowaniem przez okolicznych chciwców. Władysław Haliński z Żywca siedł z tamtejszymi ludźmi gór przez Beskid Wysoki, a Tomasz Wróbel z Białej w Beskid Śląski. Zabijali oni drzwi i okna długimi cienkimi gwoździami, a gdzie się dało godzili okolicznych górali na stróżów i zarazem pierwszych gospodarzy. Niektóre obiekty były już częściowo wyrabowane, zwłaszcza schronisko w Zwardoniu, a schronisko na Szyndzielni przerobione przez hitlerowców na bunkier obronny, bardzo podniszczone ogniem artyleryjskim.

Po bezwarunkowym poddaniu się III Rzeszy Towarzystwo przystąpiło natychmiast do niezbędnych napraw w schroniskach oraz odnowy znakowanych szlaków łącznie z wymianą licznych niemieckich tabliczek drogowskazowych. Karol Kaleta z Cieszyna nakłonił dowództwo pograniczne z Wisły do opróżnienia schroniska na Stożku i pracą własnych rąk doprowadził je go używalności w pełnym tego słowa znaczeniu. Podniszczone przez wojskowych okupantów schronisko na Wielkiej Raczy zamieniono w czasowy nie zagospodarowany

schron, od którego klucz przechowywał w Rycerze wielki miłośnik tej góry, Piotr Peterman. Także na Przehybie i Jaworzynie Krynickiej wzniesiono nieduży schron oraz przystąpiono do prowizorycznego wyłatania ruiny na Szyndzielni, a nieco później pod szczytem babiogórskiego Diablaka.

Nie powrócili do pracy dla gór i turystyki ani Mieczysław Maczyński z Żywca zamordowany w Mauthausen, ani Witold Mileski z Centralnego Biura rozstrzelany w Palmirach, ani też Henryk Bednarski z Zakopanego, który zmarł z wyniszczenia organizmu wkrótce po oswobodzeniu z kacetu. Wiktora Fucika, wieloletniego działacza z Oddziału Babiogórskiego, odnaleziono w grobach katyńskich, a wielokrotny mistrz Polski w narciarstwie, Bronisław Czech, trzymany latami w Oświęcimiu za odmowę trenowania niemieckich zawodników, zmarł zagłodzony do cna. Władysław Ziętkiewicz zginął w roku 1940, dowodząc pułkiem naszych grenadierów w chaosie francuskim. Mariusz Zaruski zmarł na zarazę w Kraju Rad i został pochowany bezimiennie w zbiorowym grobie. Józefa Oppenheima /sanitariusza w Powstaniu Warszawskim/ zamordowały rzezimieszkki z bandy "Ognia" już w rok po wojnie.

U początku powojnia częścią ocalałych schronisk sudeckich zajmowała się Dolnośląska Spółdzielnia Turystyczna. Równocześnie organizowały się miejscowe oddziały PTT - w Jeleniej Górze /1945/, Kłodzku /1947/ i Wałbrzychu /1947/, ale dopiero po pokonaniu rozlicznych trudności Towarzystwo uzyskało z początkiem roku 1948 aprobatę rządową na przejęcie wszystkich 36 schronisk sudeckich, przeważnie podniszczonych i złupionych przez tzw. szabrowników, amatorów łatwego i niezbyt godziwego zarobku. Należy zaznaczyć, że przez pierwsze dwa powojenne lata PTT dokonywało wszelkich napraw i uzupełnień na wielkim obszarze górskim PRL bez jakichś większych dotacji, a więc pracą własnych rąk i pomocą pieniężną z bardzo jeszcze ubogich kieszeni.

W roku 1947 utworzył się Oddział PTT w Gdańsku, a zasłużone koło przy OBPTT w Wadowicach zamieniło się w samodzielny oddział, zyskując wybitnego pracownika w Aleksym Siemionowie, który wraz ze swymi uczniami z kalwaryjskiego liceum wyznakował pierwsze po wojnie nowe szlaki beskidzkie w Beskidzie Środkim.

Jeszcze w roku 1945 spaliło się w dość niejasny sposób pięknie obmurowane schronisko w Dolinie Pięciu Stawów. Podobno odchodzący patrol graniczny pozostawił pod nieobecność gospodarzy nie wygaszony ogień i niedomknięte drzwiczki pieca kuchennego. Ale wieloletni gospodarz tego schroniska, Andrzej Krzeptowski, nie dał za wygraną i wynosząc na własnych plecach belki spod Siklawy wybudował nieduże prowizoryczne schronisko obok wypalanej ruiny poprzedniego. Uruchomione w 1947 r. było piątym schroniskiem w historii tej doliny.

Podobny los spotkał w roku 1949 remontowane przez Oddział Babiogórski schronisko "Leśnik" pod Diablakiem, gdzie obok pieca kuchennego znaleziono leżącą na podłodze bankę po nafcie. Ale na odbudowę tego obiektu nie zgodziły się sfery ochrony przyrody, mając na względzie przyszły Babiogórski Park Narodowy.

Jubileusz 75-lecia Towarzystwa, obchodzony uroczysto w roku 1948, wydawał się nie pozostawiać wątpliwości, że PTT zbliża się ku końcowi swego samodzielnego i mrówczo pracowitego żywota. Rozdzielono krzyże i dyplomy, a jubileuszowy rocznik "Wierchów" opublikował kilkunastu stronnicowe opracowanie działalności Towarzystwa pisma Bohdana Małachowskiego, który po wojnie objął prowadzenie Biura Zarządu Głównego. Poza licznymi zdjęciami przeważnie już nie istniejących schronisk i listami dawno zmarłych działaczy, zaznaczały się rzewne artykuły wspomnieniowe.

W owym to czasie rozpoczął się tzw. okres błędów i wypaczeń, który zaznaczył się w górach dziwactwami i utrudnieniami, i to na granicy z drugim socjalistycznym państwem. Przecinki graniczne w lasach poszerzono do 20 metrów, broniąc je co kilka dni, obsiewając owsem, co miało zachowywać odcisnięte ślady przemycających się przez granicę. Równocześnie ciągnięto nimi polowe linie telefoniczne, budując dość gęsto szafasy i ziemianki dla posterunków, szczególnie w partiach silniejszego ruchu turystycznego. Wycieczki zdążające na graniczne szczyty musiały zgłaszać się wpierw na odnośnej strażnicy u podnóża góry, a uzyskawszy pisemne zezwolenie ostemplować je na czatach granicznych oraz zwracać przy powrocie wystawcom.

Ograniczenia te wygasły po roku 1956 niemal zupełnie. Pozo-

stały po nich tu i ówdzie resztki słupków i dość długo jeszcze pojawiające się kępki owsa.

W roku 1948 PTT rozpoczęło budowę dość okazałych rozmiarów stylowego schroniska na Małej Polance Ornaczańskiej, które stało się ostatnią i piękną pracą w górach odchodzącego w przeszłość Towarzystwa.





## P O S Ł O W I E

Jak Czytelnicy mogli zauważyć, pisałem tę pracę w stylu opowieści o turystycznej historii polskich gór, unikając rozwlekłych dysertacji. Usiłowałem pokazać Towarzystwo Tatrzańskie takim, jakim było niegdyś i jak je widziałem przez kilkanaście lat międzywojennych oraz jakim przedstawiali je ówcześni działacze. Byli to Jan Nowicki, Jan Gwalbert Pawlikowski, Walenty Gadowski, Władysław Szajnocha, Kazimierz Sosnowski, Zygmunt Klemensiewicz, Zygmunt Tałasiewicz i in. Niech mi będzie wybaczone, jeśli u brzegu długiego życia o kimś przepomniałem.

W układzie tej książeczki usiłowałem posuwać się nie całostkowymi okresami, lecz poszczególnymi zazębiającymi się w czasie działaniami. Poza nikłymi wyjątkami nie osądzam czegokolwiek, pozostawiając to Czytelnikom.

Historia T.T. to nie długie i suche sprawozdanie, lecz barwny i ciekawy ciąg wydarzeń w Karpatach na przestrzeni ponad 100 lat.

Władysław Midowicz

## ZAGOSPODAROWANE SCHRONISKA TOWARZYSTWA W UKŁADZIE CHRONOLOGICZNYM

1914

|                                    |                                    |                   |
|------------------------------------|------------------------------------|-------------------|
| Roztoka                            | Przegibek                          | Hala Kondratowa   |
| Pięć Stawów                        | Prehyba                            | Pięć Stawów       |
| Hala Gąsienicowa                   | Turbacz                            | Pol. Ornaczańska  |
| Dworzec Tatrzański                 | Zaroślak pod Howerlą               | Markowe Szczawiny |
| Morskie Oko                        | Jala                               | Stożek            |
| Pol.Przechodki Małe                | Dworek Czarnohorski<br>w Worochcie | Barania Góra      |
| Markowe Szczawiny                  |                                    | Równica           |
| Gadżyna                            | Doboszanka                         | Żar               |
| Dworek Czarnohorski<br>w Żabiem    | Ciuchowy Dział                     | Pilsko            |
|                                    | Majdański Potok                    | Leskowiec         |
| Zaroślak pod Howerlą               | Burkut                             | Wielki Luboń      |
| Dworek Czarnohorski<br>w Worochcie | Borewka                            | Zwardoń           |
|                                    | dolina Świcy                       | Wielka Racza      |

1939

|                    |                                    |                                                 |
|--------------------|------------------------------------|-------------------------------------------------|
| Roztoka            | Przełęcz Tatarska                  | Przegibek                                       |
| Dworzec Tatrzański | Ruszczyzna                         | /oraz przejęte<br>schroniska po-<br>niemieckie/ |
| Morskie Oko        | Chomiak                            |                                                 |
| Hala Gąsienicowa   | Przełęcz Wyszkowska                |                                                 |
| Pięć Stawów        | Skupowa                            |                                                 |
| Hala Pyszna        | Popadyniec                         |                                                 |
| Markowe Szczawiny  | Bałtagul                           |                                                 |
| Stożek             | Masny Przysióp                     |                                                 |
| Barania Góra       | Mołoda                             |                                                 |
| Równica            | Łupków                             |                                                 |
| Żar                | Pasieczny Wierch                   |                                                 |
| Pilsko             | Prełuczny                          |                                                 |
| Leskowiec          | Klauza Zubrynki                    |                                                 |
| Wielki Luboń       | /oraz 2 schroniska<br>poza górami/ |                                                 |
| Stare Wierchy      |                                    |                                                 |

1950

|                    |                    |
|--------------------|--------------------|
| Zwardoń            | Roztoka            |
| Wielka Racza       | Dworzec Tatrzański |
| Jaworzyna Krynicka | Morskie Oko        |
| Polica             | Hala Gąsienicowa   |

# S P I S   T R E Ś C I

|                                                                                                                                      | str. |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| Od autora . . . . .                                                                                                                  | 7    |
| I. Przyjęcie w Kuźnicach - Tworzy się Galicyjskie<br>Towarzystwo Tatrzańskie . . . . .                                               | 9    |
| II. Schronisko przy Morskim Oku - Leopold Świerż poprawia<br>wygląd Zakopanego - Klasyfikacja przewodników . . .                     | 11   |
| III. Dwór Tatrzański - Schrony i altany - Pierwsze znako-<br>wania szlaków turystycznych . . . . .                                   | 13   |
| IV. Pierwsze oddziały Towarzystwa . . . . .                                                                                          | 16   |
| V. Rozwój turystyki karpackiej - Tworzenie się mitu o<br>"Królu Tatr" . . . . .                                                      | 18   |
| VI. Kto dopomagał Towarzystwu? - Koszty administracji -<br>Pamiętnik T.T. . . . .                                                    | 19   |
| VII. Problem Szkoły Snycerskiej . . . . .                                                                                            | 21   |
| VIII. Pożar schroniska przy Morskim Oku i Dworu Tatrzańskiego<br>- Spór z Węgry . . . . .                                            | 22   |
| IX. Rozwój taternictwa - Sekcja Turystyczna T.T. - . . .<br>Budowa Orlej Perci . . . . .                                             | 24   |
| X. Oddział Babiogórski T.T. - Walka z "Beskiden-Verein"<br>- Oddział w Nowym Sączu - . . . . .                                       | 26   |
| XI. Początki karpackiego narciarstwa - Tatrzańskie rato-<br>wnictwo - Nowe schronisko przy Morskim Oku . . . . .                     | 27   |
| XII. Towarzystwo Turystyczne "Beskid Śląski" - Nowe sekcje<br>T.T. - "Panowie krakowscy" - I wojna światowa . . .                    | 29   |
| XIII. Walka o Spisz i Orawę - "Murowaniec" - Reorganizacja<br>Towarzystwa - Konwencja Turystyczna . . . . .                          | 32   |
| XIV. Oddziały niżowe - Biuro w Krakowie - Oddziały w Sta-<br>nisławowie i Katowicach - Usuwanie ekspansji niemiec-<br>kiej . . . . . | 35   |

|                                                                                                                                                                      | str. |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| XV      Rozwój narciarstwa zachodniobeskidzkiego - Szlak<br>Główny - Trzecie schronisko w Pięciu Stawach -<br>Asocjacja Słowiańskich Towarzystw Turystycznych . . .  | 37   |
| XVI.    Rekonstrukcja Biblioteki Górskiej - Ujawnione naduży-<br>cia - Nowe obiekty w Karpatach - Spór o kolejkę na<br>Kasprowy . . . . .                            | 40   |
| XVII.   Nowe oddziały PTT - Fundusz naukowy Oddziału Akade-<br>mickiego - Klub Wysokogórski - Ratownictwo - Upowsze-<br>chnienie narciarstwa turystycznego . . . . . | 46   |
| XVIII. Schronisko na Przehybie - PTT w niełasce - Zmiany<br>graniczne w roku 1938 - Druga wojna światowa i zni-<br>szczenia w Karpatach . . . . .                    | 49   |
| XIX.    Naprawa zniszczeń wojennych - Utrata działaczy -<br>Oddziały i schroniska sudeckie - Jubileusz . . . . .                                                     | 52   |
| Posłowie . . . . .                                                                                                                                                   | 56   |
| Zagospodarowane schroniska Towarzystwa w układzie chrono-<br>logicznym . . . . .                                                                                     | 57   |





**NOTATKI  
Z  
GÓRSKIEGO  
ŻYCIA**





## OD AUTORA

Są to zwyczajne zapisy pamiętnikarskie pozbawione ujęcia literackiego i może dlatego miejscami nieco suche.

Wybrałem te wspominki z wędrówek po górach Polski, bo warto u schyłku życia przypomnieć mądrość starego powiedzenia, że choć wszędzie dobrze to jednak w domu najlepiej. Nie opuszczało mnie ono przez kilkadziesiąt lat włości po różnych górach świata, bez względu na ich uroki.

Władysław Midowicz







## I.

## NA PRZEJŚCIU W PIENINY /1922/

Ten stary austriacki plecak wojskowy był jednak trochę za ciężki dla piętnastolatka. A może podejście z Rytra stokami Prehyby było zbyt strome. Pot ocierany co chwila niemal zalewał oczy. Tu i ówdzie majaczyły na drzewach wyblakłe przedwojenne znaki czerwone. Ruiny baszty na Makowicy widniały w dole po drugiej stronie Popradu.

Wychowawca klasy tak interesująco opowiadał przed paru dniami o nadchodzącej wycieczce. Że rzeka, o której śpiewają "nie damy Popradowej fali", że Beskidy dokoła, a ze szczytu odsłoni się widok na skały Pienin. Ale nie mówił o plecakach. A w moim było jedzenia na 4 dni i chyba za dużo. Bochenek chleba /taki mniejszy/ i kiełbasa i masło w pergaminowym papierze. Były zimne sznycle i cukier i kilo jabłek papierówek i śliwki suszone. A sweter i para pantofli gimnastycznych, bo matka mówiła "to jakby ci się te buty rozleciały...". Ale po co właściwie ta koszula na noc i jeszcze ręcznik na dodatek? Samo mydło, pasta do zębów i mała apteczka ważyły z pół kilo! Jeszcze garnuszek aluminiowy, talerz i szczyrek uniwersalny, bo i jaki inny?!

Cieszyłem się na tę wycieczkę, a tu rozczarowanie. Góry przymglone, wór ciąży i to podchodzenie gęsim szykiem. Gdy przed kilku laty, urwawszy się rodzicom na biwaku koło Worochty biegłem licznymi zakosami płąju na Rebrowacz w Beskidach Huculskich, wydawało mi się, że mam skrzydła, a nie jak teraz objuczony czym trzeba i nie trzeba.

Na hali i szczycie Prehyby powiewa chłodem - plecak zdjęty. Widać Małe Pieniny i Trzy Korony. Świat jakby poczynął się uśmiechać. Teraz już tylko w dół.

Takie to było zetknięcie się z twardą rzeczywistością górską. Ale gdy po południu rozłożyliśmy się w Szczawnicy na poddaszu

jakiegoś przygotowywanego na sezon budynku i wybiegliśmy po wczesnym posiłku do parku, jakoś znowu wyjaśniało wszystkim. Tyle, że ten suchotnik w alei, który nagle zaczął kaszleć i pluć krwią w chusteczkę. Starszy kolega chwycił mnie za ramię zawrócił.

W słońcu wspięliśmy się rano na Sokolicę /"Midowicz! Nie próbuj obłazić tej bariery!"/. Przed chłopcem z dalekiej Huculszczyzny i niszczonego inwazjami Stanisławowa roztoczył się inny świat. To już nie ciemniejące w dali grzbiety Czarnohory czy Gorganów, lecz rozsłonecznione skalice wśród ciemnoszmaragdowych lasów. I rzeka wijąca się w otchłani pod nogami.

Z Trzech Koron /już nie próbowałem obłazić kolejnej bariery/ zbiegliśmy Szepczańskim Wąwozem do czekających łądek. Wpłynięcie w nich pod zachód słońca z powrotem w Pieniny, różniące się urwiskami wysoko w górze, chyba zdecydowało o karpackiej przyszłości przybysza ze Wschodniej Małopolski.

## II. NA NARTACH STUDENCKICH W BESKID ŚLĄSKI /1924/

Był początek marca 1924 roku, a nasza trójka już od roku pędzowała na szkolnych nartach po wysokich łąkach i polanach Magurki Wilkowickiej i Groniczek, zjeżdżając wieczorami przez Straconkę do Białej, gdzie znajdowało się nasze gimnazjum. Szkoła ta jako pierwsza w Polsce zakupiła przed rokiem kilkadziesiąt par jesionowych nart z nieco przestarzałymi metalowymi wiązaniami Bilgery'ego, bo bez trudu można je było regulować, dostosowując niemal do każdego buta.

Z Ustronia, gdzie kończyła się krótka linia kolejowa z Golezowa, podchodziliśmy zakosami płaju na Wielką Czantorię. Na jej grzbiecie tuż za granicą państwa, wznosiło się stare schronisko Beskidenverein'u, koło którego kręciło się zaledwie kilku nar-

ciarzy niemieckich, mimo słonecznej niedzieli i początku miesiąca.

Dokoła drzewały w pozłocistej mżawie słonecznej liczne ślaskie gronie. Przed nami rozwierał się zjazd w przełęczy Beskidek. Trzeba było się spieszyć by zdążyć przed pierwszym mrokiem. Przetarliśmy czarną parafiną resztki smaru podchodowego i jeden za drugim pomknęliśmy w dół. Z kolei zalodzone podejścia i trawersy leśne doprowadziły po półtorej godzinie do najpiękniejszego na ów czas z wszystkich schronisk PTT tuż pod szczytem Stożka. Wybudował je w 1922 roku najdzielniejszy z wszystkich Oddziałów Towarzystwa - Oddział Cieszyński. W czasie szybkiej dewaluacji pieniądza i kołtunerii w większości podgórskich miast, gdy poza małym domkiem Zapałowicza na Babiej Górze nie było aż po wschodniokarpacką Czarnohorę bodaj jednego polskiego schroniska.

Na Stożku oczekiwał nas powiadomiony listownie pomocnik gospodarza, w zimowej sypialni i zarazem kuchence w suterenie, jedynym pomieszczeniu przygotowanym na zimę. Tam to przeleniuchowaliśmy parę dni, bo na zewnątrz rozpętały się żywioły i nie warto było błąkać się w kurniawie na nieszczególnie znakowanych przejściach. Gdy trochę zelżało, spakowaliśmy się szybko i ruszyliśmy grzbietem ku Kubalonce, z której przez Głębcę i Wisłę pognaliśmy zaśnieżoną szosą ku Ustroniowi. Mimo nawrotu zimy i dobrych warunków, nie ujrzelśmy gdziekolwiek bodaj jednego śladu narciarskiego ani wczasowiczów.

Mróż ścisnął coraz silniejszy, a na stacyjce w Ustroniu czekał króciutki i dobrze ogrzany parą pociąg, który nas powioził do Bielska.

Była to pierwsza większa wycieczka narciarska naszej gimnazjalnej sekcji turystycznej GTS, pierwszej polskiej instytucji tego rodzaju w zaniemczonej Białej i Bielsku. I dlatego nie chcieliśmy zwracać wypożyczonych ze szkoły nart, aż opiekujący się tym sprzętem profesor Paszkiewicz upominał się swym śpiewnym wschodniomałopolskim akcentem, dopadłszy któregoś na korytarzu: "Ta kiedy oddacie te deski wypożyczone tylko na kilka dni?! Na Antarktydę się wybieracie czy co?!". Nie przewidywał ten miły i dobry wychowawca, że dzięki tym szkolnym nartom rozwinię się po kilku latach w Beskidzie Wysokim turystyka narciarska, powstaną zimowe schroniska i znakowane szlaki i ukażą się pierwsze zimowe przewodniki.

## III. W NIEZNANE ZE SZCZYTU GERLACHA /1924/

Była to pierwsza własna wyprawa nastolatków /16, 17 i 18 lat/ w Tatry Wysokie. Bez liny, czekanów itp., a za to z pierwszym przewodnikiem Janusza Chmielowskiego z roku 1906. Tylko ja posiadałem legitymację członkowską PTT uzyskaną pokątnie przed kilku miesiącami, ale za to dysponowaliśmy skromną ilością złotych polskich, nową walutą wprowadzoną w czerwcu 1924 roku i zapewniającą łatwiejsze życie w schroniskach po czechosłowackiej stronie.

Był właśnie początek lipca. Szewc w Dziedzicach wyreperował mi stare obuwie myśliwskie ojca, a za oszczędności uczniowskie zdążyłem zakupić pierwszy własny plecak z prawdziwego zdarzenia, który w ów czas zwano workiem turystycznym /bo "plecak" mówiliśmy, to głupia nazwa. Tym sposobem kapelusz powinien by się nazywać "głowak", a obuwie "nogak"/.

Posiadaliśmy już także turystyczny sprzęt aluminiowy - pudła, maselniczki, pojemniki na surowe jaja, maszynki do gotowania, kubki składane no i manierki. Choć Józek wolał zabrać ze sobą kociołek naszej gimnazjalnej sekcji turystycznej do warzenia na ogniu herbaty, reflektując na większe ilości tego płynu.

Przeszedłszy z Morskiego Oka przez płot graniczny do Białej Wody, zbiegliśmy późniejszym popołudniem z Polskiego Grzebienia do schroniska w Wielickiej Dolinie. Tuż za percią po prawej stronie wznosił się majestatycznie masyw Gerlacha, ginąc szczytową granią w chmurach. W projekcie było zejście ze szczytu do Doliny Batyżowieckiej przez tzw. Próbę. Ale urwanie się pode mną dużej płyty, z której odbiłem się rozpaczliwym wysiłkiem tuż nad przepaścią, jakoś zniechęciło towarzyszy.

-No to schodzimy w Przełęcz "Tetmajera" - zdecydowałem. Nie było w tym nic wyczynowego, a tylko nieco ryzyka początkujących uczniów. W zejściu z przełęczy, zsunąwszy się żywą drabiną na piargi Batyżowieckiej, założyliśmy południowy biwak tuż obok wysterczającej ponad górne piętro piarżysk ciekawej turniczki Kościółka. Jeden z Józków chciał nawet zejść gruzowiskiem na dół i wspinać się jej ścianą ku nam z powrotem. W oddali lśniła w



sł. ncu powierzchnia Batyżowieckiego Stawu.

- A teraz dokąd, Władek? - pytały Józki po posiłku. - Bo zejście tutaj to był twój pomysł. Byłeś tu kiedy?

- Nie. Ale już to obdumałem. Przejdziemy popod Drągą do Złomisk i nad Popradzki Staw.

- Dobra! Abyś tylko trafił na właściwą przełęcz. I uważaj! Bo co byśmy zrobili jakbyś gdzie zleciał.

Wymówił w złą godzinę, bo po przejściu Przełęczki koło Drągą i już w nieco, eksponowanym i mylnym przejściu do Doliny Złomisk skiełznałem nagle na jakiejś mało widocznej kępce trawy i zatrzymałem się na krwawiącej dłoni nad samym brzegiem progu w urwistym żlebie. Przyszły chirurg zabandażował mi dłoń i ruszyliśmy dalej.

Był to bardzo słoneczny i gorący dzień. Przy Popradzkim Stawie uskwarzyliśmy na patyku opleśniałą kiełbasę, a nazajutrz odwalili w jednym dniu przejście do Zakopanego o suchym chlebie. Po złożeniu razem resztek pieniędzy, prawie wystarczyło na zniżkowe bilety kolejowe do domu. Dotarłem tam w rozlatujących się butach i z jakby lekką słabością koło serca, która szybko przeminała.

Stałem się początkującym taternikiem.

#### IV.

#### NA PERCI AKADEMIKÓW /1925/

Północne stoki Diablaka poczęły zwracać uwagę szesnastolatka od chwili, gdy o świcie w lipcu 1923 roku pognął ku nim doliną Słonowego Potoku po bardzo chłodnej nocy spędzonej na sianie góralskiego stryszku. Wspiąłem się wówczas nikłą ścieżyną z Górnego Płaja do podnóża Szerokiego Żlebu, skąd przez zarośla tuż ponad lasem do ujścia stromej, ale dość gładkiej rynny,

którą wspinałem się wprost ku szczytowi w mych podniszczonych miejskich butach podbitych okrągłymi gwoździami.

Gdzieś w połowie żlebu dojrzałem na jednej z nielicznych skałek dwa ledwo widoczne znaki. Kółko przekreślone strzałą wskazującą w prawo, a pod nim coś, co niezdatnym rysunkiem mogło odzwierciedlać astrologiczny znak na złoto. Więc strawersowałem w prawo wychodząc wkrótce na pole łąkowo-łąkowo ułożonego piargu, poniżej którego wyzierały małe zerwiska skalne.

W dwa lata później, przyglądając się tym skałkom z północno-wschodniego stoku Kościółków, doszedłem do przekonania, że opłaca się przepuścić przez nie bezpośrednie przejście na Diabłak. Ostatecznie zadecydował widok ścieżyny wychodzącej z boru poniżej, niemal pod stopami, i zanikającej w maleńkiej trawiastej i płaskiej kotlinie. Tegoż wieczoru w schronisku Klimek Gancarczyk objaśnił, że do tej kotlinki podchodzą co jesieni górale z Baranówce, by zebrać i znieść w płachtach skoszoną wcześniej trawę.

I to zadecydowało ostatecznie o stworzeniu jedynej w swym rodzaju perci beskidzkiej. Było bowiem ambicją nastolatka wytyczenie najkrótszego wejścia północną "ścianą", jak się to górnice nazywało. A także wykonanie niepisanego życzenia Hugona Zapałowicza, który w roku 1908 projektował budowę ścieżki z polanki Suchego Stawku przez Kamienną Kotlinkę na siodło Kościółków, z przecięciem zakosów w kosodrzewinie i budową schodków żlebem na grań.

- Oszczędzimy tę kosówkę - mówiłem przygodnemu towarzyszy mej pracy w słoneczny dzień 11 czerwca 1925 roku. - I nie będziemy czegokolwiek przekopywać, bo uczynią to z biegiem lat tysiące nóg i butów studenckich. A pan Hugo może będzie się radować, patrząc z innego świata na tę ścieżkę.

No cóż! Byłem bardzo młodym i upartym entuzjastą. Nieduże żółto-białe znaki ścieliły się za mną, choć trochę żalosna myśl szeptała, że "Tatr z Babiej Góry na pewno nie zrobisz". Ale kolejna myśl dodawała "niech widzą starzy turyści jak się chodzi na wysoki szczyt".

W pierwszej wersji wyprowadziłem tę perć Piarżystym Żlebem pod zamykające go skałki i półeczką przez tę ściankę na Wielki

Pi r g. Ale po roku zatarłem ten odcinek, znakując popod Czarny Dziób, a po dziewięciu latach zamówiłem u zawojskiego kowala Stefana Malika na Wilcznej trzy klamry i objaśniłem Władysławowi Frontowi ze Stryszawy, który rozbudowywał piwnice pod schroniskiem, gdzie dokładnie i jak należy te klamry osadzić w skale. Ostatecznym powodem mej decyzji było kilka niebezpiecznych poślizgów /jeden z nadwichnięciem nogi/, a nawet odpadnięcie z potłuczeniem się przez turystkę schodzącą tamtędy po deszczu.

I tak powstała w jednym dniu Perć Akademików. Jako młody taternik nie zgodziłem się później na podtrzymanie nazwy "taternicka", nadanej jej przez profesora Sosnowskiego. Była symbolem młodości i nie potrzebowała propagujących przymiotników.

Aż do początku lat pięćdziesiątych Perć wspinała się na szczyt Diablaka wprost przez zwaliska kopuły szczytowej. Potem któryś ze znakarzy ucywilizował ją u tego końca, wyprowadzając z wysokich trawników na malutkie siodełko graniowe, tuż na wschód od szczytu Babiej Góry.

#### V. GDY GÓRALE ŻEGNALI SIĘ NA MÓJ WIDOK... /1926/

Zasolskie Góry, w każdym razie od Kocierskiej przełęczy na wschód, były zimą w połowie lat dwudziestych czymś nieco egzotycznym. Nie było tam ani znakowanych szlaków, ani schronisk czy stacji turystycznych. Ostatni punkt oparcia dla niezmiernie rzadkich wędrowców stanowiła gajownia Hotteka w lasach ponad Wielką Puszczą, opodal przełęczy przez którą przewijała się wąska bita droga z Andrychowa do Żywca, wybudowana przed kilkudziesięciu laty pracą więźniów z Wiśnicza.

Jesienią roku 1925 rozpocząłem turystyczne zagospodarowywanie tych gór, znakując pierwszy odcinek późniejszego Szlaku Północ-

nego z przełomu Soły na przełęcz Kocierską. Jako wstępną wyprawę poznawczą do dalszych prac, a zwłaszcza wydania przewodnika zimowego, przedsięwzięłem wycieczkę narciarską z przełomu Soły, przez Kocierz i Łamaną Skałę /zwaną wówczas Mładohorą/. Dzień po noclegu w gajowni był całkiem schmurzony, choć śnieg nośny. Aż pod Łamaną Skałę posuwało się niemal w poziomie i dość monotennie. Z lewej strony ścielił się widok na Podbeskidzie, a z prawej wzrok błądził po mnóstwie lesistych grzbietów przetykanych polanami. Odległe masywy Pilska i Babiej Góry przykrywały ciężkie chmury.

Spod Mładohory poniosły mnie deski ku Ścieszkowemu Groniowi. Słychać tam było piły i siekiery, pierwsze oznaki życia ludzkiego w tym dniu. Gdy w dość ostrym zjeździe przemknąłem grzbietem, bacznie zważając czy nie leży coś powalonego przez trasę, widziałem kątem oka jak tuż poniżej na stoku górale żegnali się na mój widok. Pojawiłem się nagle bez hałasu i przepadłem w przecince poniżej, trochę jak zjawa. Choć tu opodal osiedla Gibasów byłem chyba pierwszym narciarzem.

Na południozachodzie żółciły się chmury, wskazując chyłące się słońce. Zjechałem ostrożnie przez rzadki stokowy las do bitej drogi w Okrajniku i żydowskiej karczmy na herbatę i nieśmiertelną "kiełbasę na gorąco". Podając to stary karczmarz mówił: - "Że też się panu chce gonić po tych dzikich górach. Tam chyba jeszcze czegoś takiego nie widzieli".

Powoli zapadał pierwszy zmrok. Odbijając się kijkami, trochę sunąłem, trochę zjeżdżałem poboczem szosy w głąb Kotliny Żywieckiej. Nawet przez miasto udało się dotrzeć aż na dworzec kolejowy nie odpinając mych jesionowych nart, w ów czas jeszcze bez stalowych kantów, bo dopiero poczynają wchodzić w użycie.

Tu warto dodać, że i działacze z Towarzystwa Tatrzańskiego niejednokrotnie zwracali mi uwagę, że w Zasolskie Góry zimą chyba nikt nie będzie chodził. Ale ja miałem lat 19 i byłem pełen entuzjazmu.

V .

## NA FILARZE HRUBEGO /1926/

W portmonetce kołatało się zaledwie dwadzieścia kilka złotych gdy w 1926 roku podchodziłem wieczorem ku Zawratowi. A miało to wystarczyć na pięć dni. Zdecydowałem przekimnąć krótką noc sierpniową w niedużej kolebie skalnej ponad Zmarzłym Stawem. Było w niej trochę zeschłej trawy i kilkanaście gałązek kosówki, pozostałość po innym amatorze wrażeń.

Ugotowałem na maszynie herbatę i zawinięty w młodopolską pelerynę, skurczony jak świstak czy noworodek, jakoś zasnąłem na tej kamiennej pościeli. Ale po paru godzinach przebudził mnie paskudny ziąb. Gwiazdy już poczynają blednąć, więc zapaliłem mizerny ogieniek z tej zeschłej kosówki. Starczyło go na kilkanaście minut. Po krótkiej uzupełniającej drzemce spakowałem się szcękając zębami i ruszyłem ku przełęczy. Pierwsze promienie słońca wytryskiwały spoza Wysokiej, gdy przewinąwszy się granią na Kozią Przełęcz spuszczałem się w Pustą Dolinkę. Za mną pozostał nielubiany Zawratowy pinder. I zaległości w spaniu.

Józek Bigos w Pięcistawach użyczył mi otwieracza do dużej puszki z czereśniami z zapasów domowych, która ciążyła nieznośnie. Wydźwignąwszy się na grań Miedzianego, przespałem po tych czereśniach niecałą godzinę na Marficznej Przełęczy, bo był ciepły i bezwietrzny dzień. A w kilka godzin później patrzyłem z przyjemnością na sprężynowe łóżko w schronisku nad Rybim Jeziorem. Spałem tam kilkanaście godzin.

Pod wieczór następnego dnia, już w Ciemnych Smereczynach, rozłożyłem się na noc traperskim sposobem przy podłużnym ogniu, nagromadziwszy za sobą suche połamane gałęzie, by móc dorzucać nocą bez wstawania i spać dalej. Przez cały dzień nie ujrzałem bodaj jednej ludzkiej istoty, a teraz odwieczny bór szumiał do snu.

Obudziło mnie słońce zaglądające przez gałęzie i świergot ptaków. Wsunąłem w gorący popiół menażkę z owsianką i to było śniadanie. Hlińską Dolinę zalewał potok słońca. Przez Wielki Ogród wspiąłem się pod filar Hrubego. Nie było to w jakimkolwiek stopniu wyczynowe, choć trochę powietrzne, ale i całą kilku-

dniową wyprawę postanowiłem odbyć leniwym sposobem. Z turni szczytowej spuściłem się przez Furkotną Przełęcz do Niewcyrki, choćby by spojrzeć z bliska na wielką tafłę lodu zalegającą z początkiem sierpnia większą część Teryńskiego Stawu. Gdzieś niemal w podniebiu ginęły zerwy Krywania.

Zejsście w bezmiar lasów Koprowej, choć przydługie, ryło się w pamięć. Grań Hrubego z tej wysokiej doliny wydawała się czymś niemal zupełnie łatwym. Potok spadał wąziutką strugą ku górnej granicy lasu. A do "tłustego Jóźka" w niedużym schronisku poczytała ciągnąć świeża pościel na pryczy i chłodne wino. Szczególnie w tym upale. Na tej pryczy zapomniałem o wetkniętym na noc pod prześcieradło banknociku dziesięciozłotowym. Nieprzyjemną chwilę przed kasą kolejową w Zakopanem /gdzie te 10 złotych?!/ rozproszył pożyczką przygodny towarzysz wędrówki, którego przeprowadziłem przez Tatry. Zgubiłem później jego adres, tak że dopiero po dziesięciu latach udało się zwrócić tę pożyczkę, rozpoznawszy go na Babiej Górze.

## VII. ODEPCHNIĘTA WYPRAWA ZIMOWA /1928/

Gdzieś w marcu 1928 roku pojawił się w krakowskiej bibliotece PTT, którą uporczywie reorganizowałem, młody matematyk z UJ, dwójga imion Stanisław Krystyn Z., którego hobby stanowiła jak największa ilość pierwszych wejść zimowych. Odbyszał je głównie samotnie, bo będąc dziwakiem raczej odstręczał innych od uczestnictwa. A na herbatkach Sekcji Taternickiej AZS przysparzał nieco wesołości swymi referatami o ideologii taternictwa, które roznosił w strzępy znany z trafności język Bohdana Małachowskiego,

- Macie kolego trochę czasu? - pytał.

- Chyba niewiele, bo walczę jak widzicie z setkami tych

foliałów, przeważnie nocami.

- To właśnie się trochę rozerwiecie. Proponuję zaatakowanie Gerlacha z Kaczej Doliny, gdzie zanocujemy powyżej stawu. Już dwie próby pierwszego wejścia zimowego spełziły na niczym, to może nam się uda. Tylko nikomu ani słowa, bo mogliby ubiec!

- A nie jest to trochę za wcześnie? To pierwsza połowa marca!

- Kiedy indziej nie będę mieć czasu. A teraz obaj mamy ferie. No więc jak?

Zgodziłem się. Pociągało nie tak pierwsze wejście, jak odetchnięcie świeżym tatrzańskim powietrzem. Gąsienica Tomkowy powoził nas do Wodogrzmotów, skąd przez łąkę na Białej Wodzie prze-dostaliśmy się na Polanę pod Wysoką. Ja na dość krótkich i lek-kich nartach, a towarzysz kroczący bocianim krokiem na karplach, bo do narciarstwa, jak twierdził, czuł odrazę.

Cisza była uroczysta i dość pochmurno. Nocleg w namiociku al-pinistycznym trochę majaczny mimo dobrego ekwipunku, z powodu ciasnoty i częstego obracania się na drugi bok. O świcie, gdy opodal ściany pakowaliśmy sprzęt, żlebem spod Zadniego Gerlacha ruszyła pyłowa lawina. Sypało się dość obficie przez parę minut i widać było przelatujące wraz ze śniegiem głązy.

- No to i koniec z naszym pierwszym wejściem - westchnął S.K. Chyba spróbuję w zamian pierwszego wejścia na Zasłonistą. A wy?

- Ja wrócę do Rostoki wypaść się jak należy. Gerlach i Zasło-nista to jednak pewna różnica.

Objuczony już zbędnym sprzętem biwakowym i większą ilością haków zjechałem do Rostoki, gdzie w ciepłym schronisku gospoda-rzyła Maryśka Budzówna. Stanisław Krystyn nie zdobył Zasłonistej, a po kilku dniach w Krakowie główne jego zmartwienie stanowiła przy ostatecznym rozliczeniu kwota kilkudziesięciu groszy, bo znany był ze skąpstwa mimo dobrych warunków materialnych.

Myślał, myślał, wreszcie rozjaśniła mu się twarz i wykrzyknął: - Przypomniałem sobie! To ten kawałek placka, którym poczęstowa-łem was na postoju pod Wysoką! Za czym nie potrzebuję zwracać tych kilkudziesięciu groszy! Zgoda?

Roześmiałem się szczerze i szeroko, a szczególnie ten jakoś przedostawszy się na zewnątrz długo budził wesołość w ścisłym



gronie akademickiego taternictwa. Dowcipny Bodzio określał to później zdaniem: "Jak Stanisław Krystyn sprzedawał Władkowi płatek pod Wysoką".

## VIII. NA LAWINOWYCH SKRÓTACH /1928/

Obrzydło mi przechodzenie na nartach z Pięciu Stawów przez Zawrat, bo wymagało kilkakrotnego ich zdejmowania przez zejściu w dół. W odwrotnym kierunku jakoś się jednorazowego odpięcia nie odczuwało.

Więc w kwietniu 1928 roku, w piękny słoneczny dzień postanowiłem wcześniej rano spróbować przejścia na Halę Gąsienicową przez Gładką Przełęcz i Walentkową Dolinkę. Ale gdy już w pierwszym żlebie strzeliło pode mną jak z karabinu, wyniosłem się "na paluszkach" na szczyt Walentkowego Wierchu, skąd ostrożnymi zakosikami obniżałem się po bardzo stromym stoku w najwyższe piętro Walentkowej Kotlinki. "Dobrze ci tak, zarozumiałcze /szeptałem sam do siebie/ - teraz napytałeś sobie dodatkowej roboty!".

A czas mijał i trawers ku Liliowemu w pełnym słońcu poczynął także budzić wątpliwości. Wysokogórski narciarz wyczuwa jakimś dziesiątym zmysłem. Więc podszedłem na Świnicką Przełęczkę, gdzie przy ostrożnym zaglądaniu spoza nawisu w głąb żlebu wyslizgnął mi się z ręki kijek narciarski, którym badałem grubość śniegu na zejściu w żlebisko.

Jakiś pechowy dzień, pomyślałem. Trzeba szusować. Znowu bardzo powoli i zapierając się spiętymi deskami, niemal pełzałem dokoła nawisu po stwardniałym śniegu, spod którego wзираł miejscami zielonawy lód. Dotarłszy do kijka i przypiąwszy na twarde me wierne dechy rzemieniami i obu typami sprężyn zjazdowych,

doskoczyłem po nabraniu powietrza jak nurek i runąłem żlebiskiem w dół.

Do dziś nie wiem jaka to była szybkość. Po obu bokach jakby drgała szarozielonawa ściana, pod nogami trzęsło febrycznie na partiach lodoszreni, a na przejściu z cienia na słoneczny stok i wilgotnawy firn omal mnie nie położyło bardzo silnym targnięciem. Na trochę zmiękłych kolanach dojeżdżałem ku Zielonemu Stawowi. Daleko i wysoko pozostała za mną w liliiowym mrozie Przełęcz Świnicka.

No! Za ten trochę zbzikowany zjazd należy ci się jedna prawdziwa kawa w Murowańcu w każdym razie, mruczałem do siebie kierując się ku warszawskiemu zameczkowi. Ostatecznie oszczędziłem dobrą godzinę, bo trzeba by było trawersować tuż popod granią i zjeżdżać w Gąsienicową aż z Kasprowego Kotła.

W wielkiej świetlicy schroniska siedziało zaledwie kilkanaście osób. "Wujko" Rittersschild, który wypytał mnie o przejazd z Pięciu Stawów, popatrzył na mnie trochę kosym okiem przez swój monokl, mówiąc: że też pana diabli muszą zawsze ponieść, gdzie nie trzeba. No, ale chyba dokonał pan pierwszego zjazdu narciarskiego z Walentkowego Wierchu.

Słońce zapadało już poza Tatry Zachodnie. Wąziutką percią juhaską, którą ktoś zjechał przede mną, pomknąłem ku Olczyskiej. Byłem tak na czarno opalony, że następnego dnia oglądano się za mną na Krupówkach, gdy po obradach dorocznego Zjazdu Delegatów PTT zdążyłem do Morskiego Oka na przyjęcie, zaproszony tam przez profesora Goetla, który zawsze sympatyzował z wygłodzonymi w górach studentami, pamiętając własną młodość.

## IX. KTOŚ CHODZI NOCĄ PO BIBLIOTECE... /1928/

Był to niewątpliwie ponury lokal. Okno wychodziło na brudną, wysoką ścianę tuż naprzeciw i tylko nocą pracowało się tu nieco weselej. Fresk podkrakowski mienił się kolorami pod sufitem ponad dostojnymi szafami, a trawiony w kwiaty klosz dużej lampy udzielał swym blaskiem trochę życia Bibliotece Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, reorganizowanej uporczywie przez dwudziestoletniego studenta. Foliały górskie w kilkunastu językach świata otrzymywały nową zieloną pieczętkę z krzyżykiem niespodzianym pośrodku, z wszystkich kątów wyciągało się płytki metalowe z trawionymi zdjęciami dla Pamiętnika, zwrócone w różnych latach przez drukarnię Anczyca, a miejsce honorowe zajmowały aparaty fotograficzne Karłowicza, z których mniejszy odkopano wraz z ciałem z lawiny pod Kościelcem.

Biuro obok było dość staroświeckie, a po archaiczną maszynę do pisania przychodził co wieczora stary pedel Andrzej z pierwszego piętra, by ją zabrać na noc do gabinetu profesora Szajnochy, bo inaczej - a nuż ukradną jacyś włamywacze.

Student borykał się z bardzo zaniedbanymi zbiorami od kilku miesięcy, wracając do wynajętego dość daleko pokoju już nad ranem. Wreszcie zdecydował się na pociągnięcie, które miało pozostać w annałach Towarzystwa przez długie lata. Przytaszczył któregoś wieczora na wózkę całą pościel i rozścielił ją na wielkim stole bibliotecznym, przykrywając na dzień płatem zielonego sukna. Na tym stole przesypiał godziny świtowe wśród wysokich szaf po obu stronach legowiska.

Któregoś wieczoru zastał na biurku małą paczkę z notatką od sekretarki: "Zmarł prof. Szajnocha i zostawił to panu na pamiątkę". Wewnątrz znajdowało się pierwsze wydanie "Na przełęcz" Stanisława Witkiewicza.

Ano, zmarło się dawnemu prezesowi Towarzystwa. Miał już ponad 70 lat, na owe czasy wiek sędziwy. Nie będzie już tu przychodzić popatrzeć, co też ten jego słuchacz geologii wyprawia.

A może przyszedł? Którejś nocy przebudziłem się po godzinie na tym improwizowanym łożu. Był koniec stycznia i za oknem

jeszcze nie świtało. Tuż obok lekko zatrzeszczała w wąskim przejściu podłoga, jakby ktoś przydepnął obłuzowany parkiet stopą. Dalej i dalej lekki trzask posuwał się dokoła stołu. Okrążył go coś trzy razy, zatrzymując się przed niektórymi szafami. Przypomniało mi się powiedzenie księdza Stolarczyka ze starego kościółka przy Kościeliskiej ulicy: "Lepiej zmów synu Wieczne Odpoczywanie i nie strasz ludzi" - i zasnąłem. Byłem od tygodni niedospany.

Kolejnego wieczoru stary Andrzej już nie przyszedł po zdezelowanego grata. Mieszkanie na piętrze przemaalowano. Nie pamiętam, co stało się poprzez lata z Witkiewiczowską książką.

## X. NA BABIOGÓRSKIM TRAWERSIE ZIMOWYM /1934/

Około połowy lat trzydziestych stałych bywalców schroniska na Markowych Szczawinach nurtowała niejednokrotnie myśl dokonania wielkiego trawersu narciarskiego północnymi stokami masywu, oczywiście jego ponadleśną partią. Gdzieś od tzw. Złej Doliny opodał Sokolicy, przez Kamienną Dolinkę i popod Izdebczyska do Biwaku Zapałowicza, skąd starodawnym Przechoodem Poszukiwaczy Skarbów do Złotej Studni pod Cylem. Wszystko to były obszary nie tknięte jeszcze przez narciarzy w kierunku wschód-zachód, a tylko przebywane południkowo, a więc na Bronę i przez Upłazy na Diablak.

Czekaliśmy na większe opady śniegu by z nadwyżką pokryły górne piętro kosodrzewiny oraz rumowiska skalne, a także zasypały dokładnie pomniejsze żleby, których nie brakowało we wschodniej części masywu. Fewne nieduże możliwości lawinowe przewidywało się głównie przy trawersie Szerokiego Żlebu.

Wyruszyliśmy we czwórkę z początkiem lutego - W.Kądziaława+/,

S. Spławiński/+/, T. Święcicki/+/ i ja. Deski szerokie i ze stalowymi kantami, choć z najłżejszego materiału, by nie przemęczały ciężarem. Moje były z brzozy norweskiej. Wszyscy mieli sprzętyny podchodowo-zjazdowe Amstutza, zmniejszające pracę narciarza co najmniej o jedną trzecią.

Świt wstawał mroźny i spokojny, gdy skręcaliśmy z górnej polanki Żarnowskich Szczawin, rozpoczynając podejście ku nieznacznemu tarasowi Złej Dolinki. Nawet na szerokich deskach zapadało się pod kolana, tak że torujący zmieniali się co kilkanaście minut. Knieja opadająca spod Sokolicy spała pod okiścią. Nie słychać było ptaków, a ślady zwierzęce zasypał śnieg, który przestał padać dopiero poprzedniego wieczoru.

- Gdzie zaczniemy trawersować? - pytał "Kobyła", gdy przystaliśmy na chwilę już ponad górną granicą lasu.

- Możemy już stąd - odrzekłem. Kosówki nie widać, a gdyby zaczęła przeszkadzać, to wytrawersujemy trochę wyżej. Grubość śniegu tu na północnych stokach już chyba przekroczyła półtora metra.

Posuwaliśmy się umiarkowanym tempem, pozapinawszy kubraczki, bo zimno po zaprzestaniu podchodzenia trochę doskwierało. Słońce zaczynało złościć Diablak, Kościółki i Cyl. Poza nami chyba nie było w masywie innych narciarzy.

Wysokość trawersu doprowadziła nas w połowę Szerokiego Żlebu. Było w nim ze dwa metry śniegu i na wszelki wypadek przesuwaliśmy się tamtędy w kilkudziesięciometrowych odstępach. Ale na niemiłe niespodzianki było jeszcze za wcześnie i zbyt mroźno, a co ważniejsze, warstwa świeżego śniegu jeszcze nie osiadła.

Przesunęliśmy się tuż poniżej skałek Perci Akademików i przeciąwszy podejście przez Uplązy, podnieśliśmy się kilku większymi zakosami do Kamiennej Dolinki. Na jej dnie rozpałiło się ognie z sucharzy kosówki, rozkładając się na wczesny obiad. Dochodziła godzina jedenasta.

- Skąd ta sucha kosówka? - pytał "Dziedzic".

- Z urwiska. Co roku deszcz i silne wiatry strącają wraz z ziemią co słabiej zakorzenione krzaki, zamieniając powoli ten kawałek stoku w skalną ścianę.

- No i jak chcesz stąd dalej?

- Podejźmy trochę stokiem Złotnicy, po czym w dół i spod Zbójckiego Wąwozu zjedziemy do Biwaku Zapałowicza.

Ognisko wytopiło już półmetrową dziurę w śniegu. Podsmarowawszy jeszcze raz deski, ruszyliśmy dalej. Dochodziło południe. Wejście na Przechód było zamurowane świeżym śniegiem. Trzeba było wybijać kijkami przejście w gąszczu. Tuż ponad górną granicą lasu posuwało się już bez trudności. Skręciłem ostro w górę jeszcze przed Szerokim Upłazem. Nie podobała mi się duża ilość śniegu naniesiona tam południowym wiatrem.

- Nie przesadzasz, Władek? - pytał Wiesek. - Przecie tam kósówka trzyma ten śnieg.

- Trzyma albo i nie. W środku tego lejka są dość duże golizny, a stromizna dość wybitna. No i to już popołudnie. Wspomnij tylko, jak w 1912 roku, przy mrozie i dostokowym północnym wietrze ruszyła lawina tuż ponad Górnym Płajem, pół kilometra od Krowiarek. Dobrze, że ją zahamował młodnik, który jednak zmasakrowała na długości kilkudziesięciu metrów.

Przy Złotej Studni uścisnęliśmy sobie dłonie i zagotowawszy w jej rozpadlinie trochę herbaty obdumywaliśmy co cenniejsze punkty tego pierwszego przejścia narciarskiego. Na pozostałe tygodnie przedwiośnia babiogórskiego pozostało jeszcze dokonanie zjazdów Żlebem Poszukiwaczy Skarbów i strzałą z siodła Kościółków na Polankę Suchego Stawku, a także pierwsze wejście na Diabłak Szerokim Żlebem.

Końcowy zjazd do schroniska z Cyłu przerwał duży nawis śnieżny na Bronie, który trzeba było obejść. Miłej demonstracji przed schroniskiem dokonał Wiesek, wywijając u końca zjazdu pięknego młynca poziomego. Zapadał pierwszy zmrok.

## XI.

## W CHMURACH WIELKIEJ FATRY /1934/

W okresie międzywojennym Wielka Fatra była dla polskiej turystyki obszarem niemal egzotycznym. Odwiedzano niekiedy Małą Fatrę i Niżnie Tatry, nieliczni zapędzali się na Chocz, a Wielką Fatrę znano głównie z nazwy na mapach, mimo iż sięgała po jej główny grzbiet Konwencja Turystyczna rozszerzona w latach trzydziestych.

Z początkiem kwietnia 1934 roku, zaraz po wczesnej Wielkanocy i u początku martwego sezonu w schronisku babiogórskim, wyruszyliśmy z żoną przez Orawę do Różomberku, by przesiadłszy się tam na wąskotorowy pociąg dojechać pod wieczór do Liptowskiej Osady u wschodniego podnóża Wielkiej Fatry. Nie udało się zakupić po drodze szczegółowszej mapy tego górotworu ani słowackiego przewodnika, a tylko szkicową mapkę na barwnej kartce pocztowej. I z tym wyruszyliśmy z Osady wcześniej rano, dowiedziawszy się li tylko, że z bocznej doliny rozpoczynają się w lewo zielone znakowania, które wywodzą na grzbiet odległy o szereg godzin od schroniska KČST przy Królewskiej Studziencie. I to było wszystko.

Po zlodzonym śniegu wędroży znaki doprowadziły na grzbiet i do drogowskazu, od którego jakieś czerwone znakowania wiodły w dół na południe. A my, opierając się na tym kartkowym szkicu wielkości niedużego banknotu, skręciliśmy w chmurach na północny zachód, by posuwając się w mrance dość zawiłym układem grzbietów ponad lasami usiłować dobić przed nocą do schroniska.

Prowadziłem swą towarzyszkę właściwie tylko instynktem terenoznawczym, bo widzialność nie przekraczała kilku do kilkunastu metrów. Na punktach zwornikowych wyciągałem busolę i szkic, a na jednym ze szczytów znaleźliśmy resztki powalonego trianguła z ułamkiem zielonego znaku na jednym z drążków. Inne znaki na tych połoninowych grzbietach znajdowały się chyba głęboko pod śniegiem.

Z paru szczytów zjeżdżaliśmy płużąc ostro na posypanej świeżym śniegiem szreni, by nie zbić się z grzbietu na stok, a także wiedząc z dawna, że któraś z ponadleśnych przełęczy opada przepaścistą ścianą. Pewna podpórka psychiczną było utrzymujące się



Widzenie, że po naszej lewej stronie faluje w chmurach ściana lasu. Przypominało się stare włoskie powiedzenie, że czasami jeśli coś nie jest prawdą, to niemniej dobrze jest w to wierzyć.

- Słuchaj no chłopcze - pytała żona - czy ty bodaj tak mniej więcej zdajesz sobie sprawę, gdzie obecnie jesteśmy?

- Mam nadzieję, że tak, choć żeglując w tym mleku już od kilku godzin, na dodatek bez jakiegokolwiek wskaźnika poza liczeniem przechodzonych wyniosłości, nie mogę być całkowicie pewny.

- To za wiele, według ciebie, powinniśmy dotrzeć do tego schroniska?

- Za około godzinę, jak sędzę. Opóźnia nas to ostrożne, a więc wolne posuwanie się.

Narty szeleściły na lekko przymarzniętej do szreni warstewce śniegu. Miała około pięć centymetrów grubości. Na jakichkolwiek wzniesieniach nie pozwalałem sobie ani żonie obracać się przed zaznaczeniem na śniegu dokładnego kierunku, z którego przybyliśmy. Już od dłuższego czasu żywiliśmy się mieszkanką suszonych śliwek, łuszczonej orzechów włoskich i rodzynek, wyjmowaną garścią z podręcznych kieszeni i popijając to resztką kawy z termosu.

Po jakimś czasie wydało mi się, że słyszę jeszcze bardzo odległe poszczekiwanie psa. - Jeśli mnie słuch nie łudzi - powiedziałem żonie - to grzbiet, którym się obecnie posuwamy znacznie niedługo zakręcać w lewo, poczem z jakiegoś zwornika będziemy skręcać ku tyłowi.

- A co mówi mapka?

- Na mapce całą naszą dzisiejszą trasę przedstawia kręta niteczka, długości około 7 centymetrów. Pomoc raczej symboliczna.

Grzbiet zakręcał powoli w lewo. Szczekanie psa odezwało się nieco wyraźniej. Żona proponowała oznajmić się kilku okrzykami. Ale odradziłem, przypominając że we mgle i chmurach głos poruszających się ludzi roznosi się rozmaicie. Lepiej kierować się szczekaniem przypiętego psa. Nagle żona krzyknęła: - Drzewo! Pierwsze od tylu godzin!

Był to mizerny karłowaty świerczek, a po chwili drugi, nieco grubszy, a na nim resztki zielonej farby. Odwiane spod warstewki

śniegu ukazały się także ślady nart sprzed kilku dni.

- Gratuluje ci - powiedziała żona - i nadaje na najbliższe dni tytuł "Wielkiego Tropicielea niektórych słowackich schronisk". Powiedz, jak ty to robisz?

- Sam nie wiem. To chyba ósmy czy dziewiąty zmysł wyrobiony wieloletnim pętaniami się po Karpatach. A także pewne uzdolnienia znakarskie, lepsze od posiadanych przez tutejszych gospodkich czy klubowych amatorów. Ale wszystko jest dobre, co się dobrze kończy. A teraz mam ochotę na skwierczący w tłuszczu sznycel. A ty?

- A ja na dwa sadzone jaja z marchewką, no i miękkie łóżko. Przecież to już osiem godzin tej chmurowej żeglugi!

Następny dzień był słoneczny. Widać było spod schroniska przepaść poniżej przełęczy pod Križną. Podobno spadł tam przed dwoma dniami jakiś Węgier.

Po dniu wypoczynku wyruszyliśmy w słoneczny dzień głównym grzbietem Wielkiej Fatry ku północy. Góry te nie okazały się czymś niezwykłym. Ciekawy był tylko szczyt Ploska, który był tak szeroko rozplaszczony, że z punktu szczytowego widać było góry tylko u brzegu widnokregu. Obchodziliśmy go brzegiem spłaszczenia, by zobaczyć coś więcej. Wreszcie zjechaliśmy późnym popołudniem do Środkowej Revucy, by przyjrzeć się tej dawnej wysepce polskiego osadnictwa.

Kolejne popołudnie widziało nas na szczycie Wielkiego Chocza ponad Kubinem. Ciężkie chmurzyska nasuwały się od zachodu na Orawę. Hviezdoslavova Chata okazała się zamknięta i trzeba było zjeżdżać do cieplicy w Luczkach, gdzie przebywał tylko sam dzierżawca. Trzeba mu było przyznać, że znał się na przyrządzaniu grzanego wina z korzeniami.

## XII.

## EKSHUMACJA NA STAJKACH /1936/

Stajki w grupie Czarnohory są obniżonym grzbieciem opadającym od Smotrycza opodal Pop Iwana w dolinę Czarnego Czeremosza. W latach trzydziestych naszego wieku porastał je zupełnie rzadki, bo wyniszczony ogniem artyleryjskim las, przetykany skałkami. U początku pierwszej wojny światowej w latach 1914/1915 stały one jedną z linii oporu austro-węgierskiego przeciw szturmującym grzbieć wschodniokarpacki wojskom rosyjskim. Wraz z korespondującym grzbieciem od wschodu blokowały górną dolinę Czarnego Czeremosza, skąd wspomagające jednostki niemieckie budowały tzw. Wojenną Drogę Mackensena przez przełęcz Watonarkę do Hryniawy nad Białym Czeremoszem.

Od jesieni do przedwiośnia walki były zajadłe. Szczególnie duże straty ponosiły wojska carskie atakujące pod górę umocnione pozycje przeciwnika. Zabitych grzebano na miejscu, tworząc na stokach małe cmentarzyki z przeważnie bezimiennymi po latach grobami.

W roku 1936 pojawił się w schronisku AZS pod Smotryczem młody turysta niemiecki z dwoma wojskowymi sanitariuszami z Warszawy, który przedstawił gospodarzowi zezwolenie władz centralnych na odszukanie i ekshumację zwłok swego ojca na grzbiecie Stajek, a to wedle szkicu sporządzonego na wiosnę 1915 roku przez oficera z górskiego batalionu bawarskiego, który dozorował pochowanie zabitego kolegi. Tę ołówkową mapkę przekazano później rodzinie w Monachium. Młody człowiek poszukujący wojennego grobu ojca urodził się w kilka miesięcy po jego śmierci i znał rodzica tylko z fotografii.

Miejsce pochowania odnaleziono przy pomocy gospodarza schroniska w zaznaczonej na pożółkłej kartce odległości od starego buka z resztką wyciętego krzyża oraz inicjałami poległego oficera. Wynajęci Huculi kopali ostrożnie, usuwając wpierw warstwę lepkiej gliny, bo na szkicu była uwaga, że z powodu skalistości gruntu i nękającego ognia artyleryjskiego, kapitana Manfreda M. pochowano na głębokości niecałego metra. Po kilkudziesięciu minutach odsłonił się kawałek płachty namiotowej, co widząc, syn

ukłęknał obok wpatrując się jak urzeczony w ziemię zwracającą zwłoki ojca.

Widok odwiniełego ciała był niesamowity, bo przez niecałą minutę wydawało się obecnym, że ekshumowany oficer le tylko śpi. Po czym ciało w zetknięciu z powietrzem poczęło się rozkładać w oczach, a sanitariusze przystąpili do polewania środkiem dezynfekcyjnym przed zawinięciem z powrotem w zetlałą płachtę i umieszczeniem w szczelnym gumowym pojemniku. Opróżniony grób zasypano, umieszczając przywieziony z Niemiec mały krzyż z napisem.

Zwłoki zniesiono na bambusie ratowniczym do ujścia doliny Pohorylca, gdzie oczekiwał transport. Syn ekshumowanego wynagrodził hojnie Hucułów, serdecznie dziękując wszystkim za pomoc, co tłumaczył przez cały czas gospodarz schroniska. Młody Bawarczyk zestarzał się przez ten dzień chyba o kilka lat.

Mimo upływu z górą dwudziestu lat, główny grzbiet Czarnohory i przylegających Czywczynów zachowały zupełnie dobrze ślady pierwszej wojny światowej. Częściowo tylko pozapadane linie okopów strzeleckich wraz z dobiegami, powalone zasieki z drutu kolczastego, ziemianki na stanowiskach flankujących ciężkich karabinów maszynowych, rozrzucone stosy łusek z amunicji karabinowej, a nawet zetlałe bandaże z brudnordzawymi plamami, wszystko to doczekało się w kilka lat później kolejnej wojny światowej.

Może najciekawszy na zarosłym poprzez lata stoku górskim ponad źródłiskami Białego Czeremosza był widok nienaruszonego okopu z resztkami ręcznych granatów we wnękach parapetu, jak gdyby ciągle oczekującego ataku od północnej strony. Wyglądało to, jakby obrońcy opuścili go nagle, a pasterze z okolicznych połonin omijali go po wojnie z dala.

## XI.

## KONTROLA NA POP IWANIE /1937/

- Trzeba by sprawdzić, w jakim stanie jest obecnie budynek obserwatorium - rzekł dyrektor Państwowego Instytutu Meteorologicznego, poprosiwszy mnie do swego gabinetu w Warszawie w grudniu 1937 roku.

- A co mówi Liga Obrony Powietrznej Państwa, a więc fundator tego wszystkiego?

- Nikt tam od nich nie był od czerwca, a architekt ze Lwowa prowadzący roboty twierdzi, że wszystko będzie gotowe do przejęcia i zamieszkania z dniem 1 sierpnia. Podobno ktoś tam siedzi i pilnuje ogrzewania suszącego mury.

- A kto to nazywa ten szczyt "Rozśpiewanym"? Przecież to zupełna fantazja!

- To podobno nasi stołeczni astronomowie. Wmówili przed kilku laty w generała Berbeckiego, że astronomia decyduje obecnie o nawigacji lotniczej, a więc i obronie powietrznej państwa, no i tak od rzemyczka do koniczka... a resztę chyba pan zna. A my będziemy płacić za utrzymanie tego pałacu na Czarnohorze i to dużo.

Pop Iwana dzieliło od Warszawy z jakie siedemset kilometrów. Z kurierskiego pociągu przesiadało się w Stanisławowie po całonocnej podróży na dość szybki pociąg wspinający się uroczą doliną Prutu do Worochty, skąd ciuchcia leśna wiozła do doliny Foreszczenki opodal szczytu Howerli. Zamiast ciuchcią można było przejechać tych kilkanaście kilometrów motorową drezyną leśną, oczywiście za dopłatą. Z Foreszczenki podchodziło się na nartach w niecałe dwie godziny do nowego schroniska Karpackiego Towarzystwa Narciarzy pod szczytem Maryszewskiej.

Po noclegu i wczesnym śniadaniu wyruszyłem stamtąd wielogodzinnym znakowanym trawersem wzdłuż czarnohorskiej granicy lasu. Popod schmurzonym niebem roztaczał się krajobraz mych rodzinnych stron, których nie widziałem od blisko dziesięciu lat. Chmury czepiały się czarnohorskiej grani. Już pod wieczór zjechałem z przełęczy pod Smotryczem do widniejącego poniżej schroniska AZS-u warszawskiego.

O świetle odsłonił się ogromny masyw Popa z ledwo zaznaczającym się budynkiem obserwatorium. Niebo pokrywały drobne chmury-baranki o liliowym podbarwieniu. Potężne kute odrzwia otworzył późniejszy stary mechanik, który utrzymywał jarzący się koks w dużych żelaznych koszach. Przeczytał upoważnienie od dyrektora i wprowadził do środka. Brakowało tam jeszcze wyposażenia siłowni i kotłowni oraz całego importu astronomicznego z Anglii, a także tynków i podłóg parkietowych.

- Kiedy tu zaprzestano robót jesienią? - spytałem.

- W drugiej połowie października, kiedy śnieg sięgał już pod kolana. Prowadzący inżynier zjeżdżał aż po Mariczejkę na nartach. Mają zacząć roboty wykończeniowe w połowie maja.

- Jak pan sądzi, skończą to wszystko do połowy sierpnia?

- Może i skończą, jeżeli Huculi dopiszą z transportem konnym. A trzeba będzie wywieźć także całe umeblowanie i część ropy.

Tymczasem chmury znikły i potop słońca zalewał góry. Wszędzie wznosiły się wysokie szczyty już w pełnej zimie. Był to dzień 20 grudnia. Obszedłem obiekt fotografując z bliska i z dalsza, a także wnętrza pomieszczeń technicznych. Po kolejnej nocy w schronisku poniżej pogałem starym śladem pod Maryszewską i do Foreszczenki. Następnego rana byłem już w Warszawie, przywożąc na święta maleńki karłowaty świerk, zabrany z gęstwy pod Brebienesulem.

- No i jaka jest pańska opinia? - pytał dyrektor po świętach.

- Nie wiem, kto doradzał astronomom to rzekomo bezchmurne miejsce. Sądzę, że od listopada do marca niewiele będą mieli z tego pociechy. Nasza synoptyka bez dokonywania przekrojów radiosondami także niewiele z tego zyska. Dobry punkt na badania geofizyczne, a także jak sądzę, biologiczne.

- A co z personelem, oczywiście poza astronomami, którzy mają dojeżdżać? Wśród meteorologów i klimatologów nie przyjdzie panu łatwo znaleźć amatorów na to odległe i dość dzikie miejsce.

- Trzeba będzie uzyskać dla nich specjalny dodatek wysokogórski, a z tego co mówił dyżurujący tam mechanik wynika, że trzeba będzie udzielać po kilka dni lokalnego urlopu co miesiąca. Posiłki oczywiście przy wspólnym stole, no i zastąpienie

kobietami stanowisk kucharza i woźnego. To zapobiegnie w jakimś stopniu różnym fobiom.

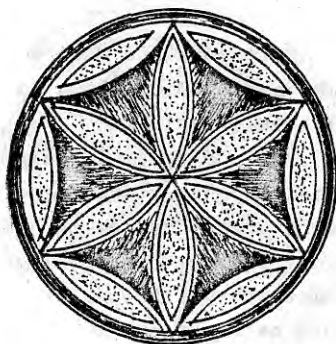
- Irytuje mnie nikły udział astronomów w przyszłym budziecie obserwatorium - mówił dyrektor. I dlatego pokosztuje ono nas ponad 40 tysięcy rocznie. Jako człowiek żonaty i gospodarczo doświadczony będzie pan musiał przyjąć wszystkich, a więc i placówkę ochronną, na utrzymanie. Pracę i utrzymanie kucharki załatwi PIM.

- Najgorszą rzeczą jest, jak słyszałem, nagła odmowa przez LOPP założenia rurociągu z dość wydatnego źródła 160 metrów poniżej. Przy 16 atmosferach ciśnienia na rury trzeba je będzie importować albo pompować z przystankiem. Koszt tej instalacji wyniesie także około 40 tysięcy.

- Tak. Generał nie chce o tym słyszeć, bo mu ktoś powiedział, że częste deszcze od wiosny do jesieni wypełnią wewnętrzne zbiorniki z nadwyżką. A PIM-owi skarb państwa odmawia specjalnej dotacji na ten rurociąg.

- No to trudno. W razie posuchy trzeba będzie nosić wodę wiadrami na koromesłach, a nawet racjonować ją. Przy takich nosidłach wyposażenie techniczne tego obiektu będzie wyglądać jak przysłowiowy kwiatek przy kożuchu.

- Nie zazdroszczę panu tej roboty - mówił dyrektor. - Ale wybrano pana jako człowieka gór, na dodatek tam urodzonego i częściowo wychowanego. I podobno aż nazbyt energicznego. Zobaczmy.





## XIV. PO LATACH - ZNOWU NA BABIEJ GÓRZE /1967/

Krótki pociąg z Suchoj wspinał się z hałasem ku Hucisku. Rozpoznałem staroświecki wagonik o kanapkach bardzo już zużytych ponad trzydziestoletnią służbą. Zginęły miliony ludzi, spłonęły wielkie miasta i wyleciały w powietrze setki mostów, a ten wagonik wraz z kilku innymi jakoś ocalał. Tyle razy wiozła ta jeszcze austriackiego pochodzenia "personka" uczniaka, później studenta, wreszcie młodego człowieka z plecakiem, a teraz wysiadł z niej na przełęczy beskidzkiej już siwiejący człowiek. Spojrzał na puste miejsce po spalonej przez wojnę stacyjce, przyglądał się znakom spod których wyzierały miejscami strzępki spłowiałej farby sprzed kilkadziesiątu lat i wolno ruszył leśną drogą ku odległej górze. Górze przeznaczenia.

Było wiosenne rano i las zanosił się śpiewem ptaków. Wzdłuż drogi kwitły pierwiosnki i zawilce. Z Koszarawskiej przełęczy zamajaczyło w dali potężne Pilsko. Poniżej stała niegdyś stara chałupa, a teraz zajmował jej miejsce blok szkoły Tysiąclecia. Nieco dalej u rozstaja wegetowała stara gajownia.

Znaki skrzyżowały na stok Suchoj Góry, gdzie wzdłuż chodnika rosły młode zagaje. Gonny las świerkowy poszedł wspomagać "wysiłek wojenny" hołoty hitlerowskiej.

Z grzbietu ponad Klekocinami odsłoniła się majestatyczna góra. Jej lasy pokrywała świeża okiść śnieżna. Uklęknąłem wyciągając ręce. Wracąłem do niej po kilkadziesiąt lat tułaczką przez obce kraje.

Za przełęczą trzeba było odszukać mało znany turystom skrót na Widełki. Wiodła nim jakaś jednodrutowa linia telefoniczna i resztki śniegu bieliły się w lesie.

Stary góral, który orał pod Mylnymi Młakami, zapytany czy tędy ku Fickowi, spojrzał na mnie trochę spod oka, mówiąc:  
- Tędy, panie. Ale trochę mi dziwno, bo to już będzie niedługo trzydzieści lat, jak się Fickowi zmarło, aj zmarło...

Po nocy na Paluchówce stary człowiek wyruszył na zieloną ścieżkę. Minął gajownię na Markowej, w której chował się przed

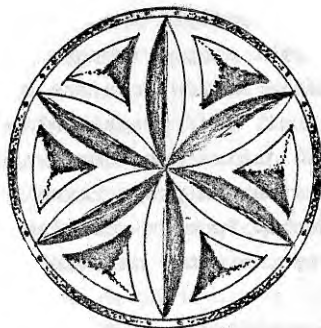
lat jego mały syn, rzucił wzrokiem ku jedynej ocalałej u góry chałupie pierwszego gospodarza schroniska z początków wieku i zagłębił się w las Suchego Gronia. Wspinał się wolno przydeptanym w śniegu szlakiem, którym jeszcze przed paru wiekami przemykali zbójcy zawojscy, później gajowi, nieliczni podróżnicy, wreszcie pierwsi narciarze, wycieczki szkolne, patrole graniczne i wrody okupanci. A szlak trwał, odpierając zakusy transportowe na wygodniejszy Górny Płaj.

Na schroniskowej polanie przystanęłam, patrząc z niechęcią na oszpeconie starego domu trzecią mansardą. Ano, zachciało się żywcem na gospodarza przed wojną kelnera z Kalwarii, to i są następstwa.

Wewnątrz niewiele się zmieniło. W drzwiach wiodących z holu do sypialni ciągle jeszcze tkwiły klamki kupione na jarmarku w Suchej w roku 1906, a w jadalni biurokracja nie zdołała jeszcze zniweczyć rzeźbionego na modłę podhalańską kredensu. Na ścianie świetlicy widniał portrecik Zapałowicza ukrywany podczas wojny w chacie góralskiej na podnóżu.

I tak oto zamykał się krąg drogi życia wiodący z Karpat przez Wielką Brytanię, Malaje i Australię. Czekano jeszcze trochę pracy w górach, ale także zbliżał się stopniowo kres życia.

Przed zejściem następnego rana odwiedziłem Szumiącą Wodę. Szeleściła pod śniegiem jakby witając znowu powracającego znajomka.



## XV.

## ZDARZENIE POD DOLINKĄ BUCZYNOWĄ

Pod koniec lat sześćdziesiątych kilkunastoletni chłopiec z Zakopanego wybrał się przez Przełęcz Granacką i Dolinkę Buczynową do Pięciu Stawów, by uzyskać brakujące punkty do Górskiej Odznaki Turystycznej. W kieszeni miał dwie bułki.

Zejsście z tej przełęczy do Buczynowej było wyznakowane kilka lat przed pierwszą wojną światową przez Mariusza Zaruskiego jako odcinek najkrótszego przejścia z Zakopanego do Morskiego Oka. Sprowadzało ono bez jakichkolwiek ubezpieczeń po nieco eksponowanych płaszczyznach i miejscami uciążliwych stromych piarżyskach, i oczywiście nadawało się do przejścia dla bardziej doświadczonych turystów z właściwym ekwipunkiem. Stare znaki czerwone zanikły prawie zupełnie poprzez okres około 70 lat.

Gdy uczeń ten nie wrócił następnego dnia, rodzina zaalarmowała GOPR, nie całkiem orientując się, w którym kierunku chłopak wyruszył w Tatry. Pogotowie rozpoczęło poszukiwania w kilku kierunkach, przeszukując nawet którąś jaskinię Tatr Zachodnich.

Nic o tym nie wiedząc, posuwałem się w ciepłe i nieco mgliste południe września znakowaną ścieżyną od ujścia Siklawy ku Żlebowi Krzyżniańskiemu. Będąc opiekunem całej sieci znakowanych szlaków Tatr Polskich, porządkowałem żółte znakowania na tej odwiecznej percy kłusowniczej. Moja żona wraz z dorosłym synem właśnie przybyłym z Kanady, posuwała się o jakie ćwierć kilometra przede mną.

Minąwszy ujście Buczynowej Dolinki i schylając się nad jakimś gładem by zatrzeć resztki niepotrzebnego znaku, zauważyłem kątem oka jak kilkanaście metrów poza mną wystąpił z kosówki na ścieżkę kilkunastoletni, dość wysoki chłopak i stanąwszy nieruchomo, patrzył na mnie jakimś kamiennym wzrokiem. Obróciłem się i przez kilkanaście sekund przypatrywaliśmy się sobie bez słowa czy choćby uśmiechu. Po czym ruszyłem naprzód do kolejnego stanowiska znakowego, a młody człowiek sunął bez szelestu za mną.

- Puszczę go przodem - pomyślałem. - To może być ktoś nie

całkiem normalny - jeszcze mnie popchnie nagle w Roztokę.

Mijając mnie chłopiec spozierał na mnie spod oka i uśmiechając się jakby z zakłopotaniem, wydawał się coś mówić, a w każdym razie poruszał ustami. Powiedziałem "dzień dobry" i patrzyłem jak znikał za zakrętem. Pracując nadal, doszedłem po około 20 minutach do mej rodziny u siklawki w żlebie spadającym spod Buczynowej Turni i spytałem:

- Wyprzedził was może taki zupełnie młody człowiek?
- Nikt nas nie wyprzedzał.
- No to znowu wlaźł po drodze w kosówkę. Jakiś dziwny osobnik.

Już razem posuwaliśmy się z powrotem ku ujściu Buczynowej, zdążając do schroniska na obiad. Po stukilkudziesięciu metrach znowu pojawił się przed nami na zakręcie ten kilkunastoletni i minął nas, dążąc w stronę Krzyżnego.

- Znowu przysiadł gdzieś w kosówce - powiedziałem. Wygląda na ucznia, który uciekł z domu i namyśla się co czynić dalej.

- Czy zauważyłeś - mówiła żona - jaki on wymuskany. Spodnie zaprasowane w żyłkę, włosy uczesane jakby wyszedł dopiero co od fryzjera, a pionierki wręcz lśniły się. Czyżby to przesiadywanie w kosówce tak pomagało?

Po dwóch dniach, już w domu w Kościelisku, przeczytałem w dzienniku krakowskim o poszukiwaniach GOPR-u prowadzonych już od dziewięciu dni. Na wszelki wypadek zadzwoniłem do nich, relacjonując spotkanie pod Buczynową. Wywołano radiotelefonicznie schronisko w Pięciu Stawach, zlecając przeszukanie Buczynowej z otoczeniem. Posuwając się w głąb tej smutnej wiszącej kotliny zauważono przez szkła jakąś plamę na piargach pod ujściem żlebu spod Granackiej Przełęczy. Były to zwłoki nieszczęsnego ucznia, który odpadł usiłując zejść "na krótsze drogi".

Już później, w schronisku jeden z miejscowych ratowników powiedział pół serio do gospodyni: - Ciotko! A może to on pokazał się przed paru dniami opiekunowi, żeby skierować Pogotowie. Nie chciał coby go liski a kruki rozebrały.

Mój rysopis chłopca spod Buczynowej był później sprawdzany w okolicznych schroniskach. Ostatecznie taki młody człowiek mógł zejść z Krzyżnego na Gąsienicową lub zawrócić do Roztoki. Ale poszukiwania te nie dały jakichkolwiek wyników.



# SPIS TREŚCI

|                                                         | str. |
|---------------------------------------------------------|------|
| I. Na przejściu w Pieniny /1922/ . . . . .              | 65   |
| II. Na nartach studenckich w Beskid Śląski /1924/ . . . | 66   |
| III. W nieznane ze szczytu Gerlacha /1924/ . . . . .    | 68   |
| IV. Na Perci Akademików /1925/. . . . .                 | 69   |
| V. Gdy górale zegnali się na mój widok /1926/ . . . .   | 71   |
| VI. Na filarze Hrubego /1926/ . . . . .                 | 73   |
| VII. Odepchnięta wyprawa zimowa /1928/ . . . . .        | 74   |
| VIII. Na lawinowych skrótach /1928/ . . . . .           | 76   |
| IX. Ktoś chodzi nocą po bibliotece /1928/ . . . . .     | 78   |
| X. Na babiogórskim trawersie zimowym /1934/ . . . . .   | 79   |
| XI. W chmurach Wielkiej Fatry /1934/ . . . . .          | 82   |
| XII. Ekshumacja na Stajkach /1936/ . . . . .            | 85   |
| XIII. Kontrola na Pop Iwanie /1937/ . . . . .           | 87   |
| XIV. Po latach - znowu na Babiej Górze /1967/ . . . . . | 90   |
| XV. Zdarzenie pod Dolinką Buczynową . . . . .           | 92   |







# **jak powstał główny szlak karpacki**

**o Białym Słoniu  
na  
Czarnohorze**





## JAK POWSTAWAŁ GŁÓWNY SZLAK KARPACKI

Gdy Kazimierz Sosnowski projektował go dla Beskidów Zachodnich w roku 1924 w kolorze biało-czerwono-białym, na całym tym 200-kilometrowym odcinku od Ustronia po Krynice istniały zaledwie trzy przejścia turystyczne dość lichy wyznakowane tymi kolorami, a to od szczytu Czantorii po Stożek, od wsi Żabnica przez szczyt Pilska na przełęcz Glinne /z tabliczkami drogowskawymi "Beskiden-Verein" z Bielska/, oraz od szczytu Przehyby w Beskidzie Nadpopradzkim po Rytro. Całkowita pustka znakowa panowała od szczytu Babiej Góry, poprzez Gorce po Przehybę, nie mówiąc już o Beskidzie Niskim i tzw. naówczas Karpatach Wschodnich.

W roku 1925, już w ramach usuwania niemieckiej gospodarki z Beskidów, oddziały PTT przeznakowały czerwonym kolorem niebieskie znakowania z Polany na Czantorię oraz także znaki z Przyśłopia baraniogórskiego /schronisko PTT/, przez Baranią Górę i Halę Radziechowską do Węgierskiej Górki, a w Paśmie Babiogórskim wyznaczono odcinek Głuchaczki-Mędralowa-Przełęcz Jałowiecka-Rozstajna Jodła /późniejsze Żywieckie Rozstaje/ oraz Diablak-Krowiarki. Powodem nie znakowania szlaków pomiędzy Rozstajną Jodłą i Diablakiem była różnica zdań pomiędzy prof. Sosnowskim i Oddziałem Babiogórskim PTT, bo autor projektu Głównego Szlaku Beskidzkiego chciał go przepuścić przez Małą Babią, a oddział w Żywcu uważał za właściwsze skierowanie tego szlaku przez Markowe Szczawiny, co ostatecznie nastąpiło w roku 1927, wraz z przekierowaniem z Głuchaczek, przez słowacką dolinę Jałowca na Przełęcz Jałowiecką.

W tymże roku 1925 Oddział Nowosądecki /F.Rapf/ wyznakował odcinek z Rytra, przez Łabowską Halę i Jaworzynę do Krynicy.

W roku 1926 Oddział Babiogórski /W.Midowicz/ przedłużył Szlak Główny z Węgierskiej Górki, przez Abramów na Przełęcz Pawlusią, gdzie dołączył go do czerwonego szlaku BV wspinającego się na tę przełęcz z doliny Żabnicy, odcinając dolną część, którą później przemalowano kolorem zielonym.

Od Przełęczy Pawlusiej trzeba było dokonać znacznych poprawek i uzupełnień aż po Glinne, bo BV wyznakował go lichy, szczególnie niedbale wyznaczając przejścia przez hale i ponad lasem. Wymieniono ich tabliczki drogowskazowe tylko w języku niemieckim, zastępując je polskimi<sup>x/</sup>.

Od przełęczy i przejścia szosowego Szlak Główny wspinał się na leśny szczyk zwany współcześnie Zimną, opodal którego zalegała nieduża polana zwana z dawna Studentem. Na niej to, jak wspominał w XVII wieku wójt żywiecki, Andrzej Komoniecki, rosło stare drzewo, w którego dziupli znajdował się ukryty przez zbójów skarb srebrnych i miedzianych monet, który stopił się wskutek podpalenia dudźawego drzewa przez pastuchów. Później z tego znaleziska odlano dzwonek-sygnaturkę dla kościoła w Jeleśni.

Drugi szczyk Zimnej zwano przed kilku wiekami Beskidem Korbielowskim, a później Wyską. Stąd Szlak Główny sprowadzał w leśną Przełęcz Półgórską, przez którą aż do XIX wieku wiódł lichą drogą "trakt miedziany" z Namiestowa do Żywca. Podobno uchodził tedy podczas najazdu szwedzkiego Jan Kazimierz, zdążając z Nowego Sącza, przez górną Orawę do swego zamku w Żywcu.

Z przełęczy Szlak Główny wspinał się dość stromo na szczyk Beskidu Krzyżowskiego, opadając w rozległą przełęcz pod Jaworzyną, z której wygodny płaj sprowadzał do słowackiej doliny Jałowca, źródłowego potoku Półgórzaneki. W przyszłych latach poprowadzono tedy skrót Szlaku Głównego, który omijał wyniosły szczyt Jaworzyny. Na razie jednak szlak wyznakowano przez Jaworzynę na Głuchaczki, przez które wiodła wąska droga kołowa z Przyborowa do doliny Jałowca i na których znajdowała się uboga karczemka góralska.

<sup>x/</sup> usunięte drogowskazowe tabliczki niemieckie przesyłano pocztą do zarządu Beskiden-Verein w Bielsku.

Także w roku 1926 Oddział Tarnowski /E.Carewicz/ wyznaczył odcinek z Lubania, przez Krościenko i Dzwonkówkę na Prehybę, skąd odnowił stare czerwone znakowania do Rytra.

Pozostały i dość długi odcinek Szlaku Głównego od Krowiarek po szczyt Lubania poczęto wypełniać w roku następnym. J.Merta z Oddziału Babiogórskiego wyznakował go latem z Krowiarek do Osielca, a W.Midowicz, na prośbę prof. Sosnowskiego, znakował jesienią z Rabki na Turbacz i Halę Długą, używając naturalnego cynobru zakupionego z subwencji Zarządu Głównego. I w tym roku 1927 Oddział Babiogórski ostatecznie przekierował szlak z Głuchaczek, przeprowadzając go od Rozstajnej Jodły, przez Markowe Szczawiny, na Brone i odnawiając stare znakowania na Diablak.

Stosunkowo późno, bo w roku 1928 oddziały Cieszyński i Górnośląski wypełniły odcinek Szlaku Głównego pomiędzy Stożkiem i Baranią Górą, wiodąc go przez drogową przełęcz Kubalonkę. Równocześnie E.Carewicz wypełnił lukę pomiędzy Halą Długą i Lubaniem, a J.Merta przekierował Szlak z polany Tanecznik przez Halę Miziovą /nowe schronisko/ na szczyt Pilska.

W latach 1930/32 Oddział Rabczański PTT /J.Czoponowski/ połączył przez Bystrą Podhalańską oba wielkie odcinki Szlaku Głównego.

Wykończenie szlaku zachodniobeskidzkiego skłoniło wschodniokarpackie oddziały PTT do wyznakowania w okresie 1931-1934 Głównego Szlaku Wschodniobeskidzkiego pomysłu Mieczysława Orłowicza, twórcy kilkutgodniowych rajdów grzbietami Karpat Wschodnich. Szlak ten wił się z Sianek głównym grzbietem karpackim przez Starostynę /1229 m/, Ruski Put /1311 m/, Zełemeny /1307m/, Pikuj /1405 m/ i Trościan /1235 m/ do Sławska, skąd przez Wysoki Wierch /1245 m/, Czarną Repę /1288 m/, Gorgan Wyszkowski /1448 m/ schodził do Klauzy Świcy. Stąd przez Sywanią /1642 m/, Mołodę /1723 m/, Grofę /1752 m/, Parenkę /1737 m/ i Popadię /1742 m/ sprowadzał do schroniska PTT na Jali. Z Jali przez Wysoką /1805 m/, Ihrowyszcze /1807 m/ i Sywulę /1835 m/ sprowadzał do Rafajłowej, skąd przez Doboszanek /1757 m/ do schroniska PTT pod tym szczytem. Spod Doboszanki przez Syniak /1664 m/ i Chomiak /1540 m/ do schroniska PTT pod drogową przełęczą

Jabłonicką, skąd już krótszy odcinek przez Seredię /1004 m/ doprowadzał do stacji kolejowej i wczasowiska Worochta.

Z Worochty Szlak Wschodniokarpacki wiódł w Czarnohorę i przez Kukul doprowadzał do schroniska PTT na Zaroślaku. Stąd przez Howerlę /2058 m/, Turkuł /1935 m/, Munczel /2002 m/, Pop Iwan /2022 m/ prowadził na Stoh /1655 m/, na którym stykały się granice Czechosłowacji i Rumunii z Polską.

W niedługi czas po tym oddziały PTT w Gorlicach i Sanoku wyznakowały grzbietem Beskidu Niskiego połączenie tych dwóch wielkich szlaków, tworząc Główny Szlak Karpacki od Ustronia po Stoh, o długości około sześciuset kilometrów<sup>x/</sup>.

Wszystkie te prace zajęły łącznie lat dziesięć. Z kolei jakiś gorliwiec postawił na Zjeździe Delegatów PTT wniosek, by cały ten szlak ochrzcić imieniem marszałka J. Piłsudskiego. W ówczesnych warunkach politycznych mało kto ośmieliłby się sprzeciwić temu, choć były propozycje by wschodnią część dedykować Mieczysławowi Orłowiczowi.

Główny Szlak Karpacki posiadał w swej zachodniej części 3 wielkie warianty znakowane kolorem niebieskim, a to Pieniński, wykonany w latach 1926-1928 /E.Carewicz i ks. W.Gadowski/, Raczański /1928-1929; J.Merta i W.Midowicz/ oraz Podhalański, wiodący z Policy przez Żeleźnicę na Turbacz /1930-1932; S.Borkowski i J.Czoponowski/.

Warto nadmienić, że w roku 1976 Oddział Babiogórski PTTK z Żywca wysunął projekt przeznakowania Głównego Szlaku Zachodniobeskidzkiego z Baraniej Góry przez Zwardoń, Wielką Raczę, Ryce rzową, Usoły i Halę Lipowską na Pilsko. W dużej części był to powrót do pierwszych planów K.Sosnowskiego, których nie udało się zrealizować w latach dwudziestych. Drugim projektem /W.Midowicza/ jest przerzucenie tego szlaku od Policy na trasę Wariantu Podhalańskiego, oczywiście po wzniesieniu projektowanego schroniska-bacówki w okolicy szczytu Żeleźnicy.

<sup>x/</sup> Projektowano dalsze przedłużenie Głównego Szlaku Karpackiego ze Stohu aż po graniczący z Rumunią szczyt Hnitez i zakończenie go w Hryniawie nad Białym Czeremoszem.



## O BIAŁYM SŁONIU NA CZARNOHORZE\*

Nigdy nie było całkowicie jasne, kto był głównym "sprawcą" Obserwatorium Meteorologiczno-Astronomicznego PIM na Czarnohorze, które w tych niełatwych i ubogich latach przedwojennych kosztowało milion złotych wydanych z funduszków społecznych, z czego większość płatna w dewizach przemysłowi brytyjskiemu. To ostatecznie stało się powodem owej dziwnej nazwy - Biały Słoń.

Głównym promotorem budowy byli najprawdopodobniej astronomowie warszawscy, którzy rozglądali się za miejscem o wystarczająco czystym powietrzu, a także o stosunkowo rzadkim zachmurzeniu. Tego ostatniego, niestety, nie brakowało od jesieni do wiosny na graniach Czarnohory i ten, kto ją doradził, nie wydawał się być wystarczająco obeznany z klimatem Karpat Wschodnich.

Meteorologia światowa pod koniec lat trzydziestych opierała się coraz bardziej na radiosondach wypuszczanych z wybranych punktów na duże wysokości i poczyniała traktować obserwatoria wysokogórskie raczej jako miejsca specjalistycznych badań klimatu, a także magnetyzmu ziemskiego, promieniowania kosmicznego itp.

Alte w II Rzeczypospolitej, szczególnie w latach trzydziestych, pewna ilość starszych generałów chętnie zajmowała się problemami natury nie wojskowej, jak szlachtą zagrodową, Huculszczyzną, wyimaginowanymi koloniami w Afryce czy Brazylii, a przewodniczący ówczesnej Ligi Ochrony Powietrznej Państwa /LOPP/, z górą 60-letni generał Berbecki popierał astronomię i to dość klasycznego gatunku.

Administrację całego obserwatorium, ze względu na wysoki koszt utrzymania tak wysoko położonej placówki, zlecono bez

\* Przedruk z: Harnaś 4, SKPG Harnasie, Gliwice 1979



dyskusji Państwowemu Instytutowi Meteorologicznemu, który szybko doszedł do przekonania, że przyszły kierownik tego "białego słonia", poza wykształceniem zawodowym, musi być człowiekiem gór, szczególnie doświadczonym w zaopatrywaniu tego typu obiektów w dużą ilość paliwa i żywności, a także w miarę możliwości - kimś urodzonym w tamtych stronach, a więc znającym Huculszczyznę i władającym językiem ukraińskim.

Stąd wybór mej zupełnie przeciętnej i młodocianej osoby /liczyłem 30 lat/, ściągniętej, względnie zwerbowanej przez centralę PIM prosto ze schroniska PTT na Babiej Górze, gdzie od 5 lat reorganizowałem gospodarkę turystyczną, zwłaszcza narciarską, równocześnie przygotowując teren pod przyszły park narodowy.

Poczynając od połowy grudnia 1937 r. wyjeżdżałem kilkakrotnie z Warszawy do obserwatorium, gdzie bytował późniejszy starszy mechanik Wł. Szewczyk, pilnując centralnego ogrzewania suszącego świeże mury. Z początkiem lipca 1938 r. przybyliśmy wraz z bagażem do wynajętej bazy obserwatoryjnej w Żabiem-Jaworniku. Transportu w postaci kilku ciężarówek udzielił 49 Pułk Strzelców Huculskich w Kołomyi, którym dowodził znany działacz narciarski płk. dypl. Władysław Ziętkiewicz. Pod koniec sierpnia odbyło się formalne otwarcie obserwatorium, rozpoczęte tuż przed przybyciem kilkudziesięciu gości z Warszawy niezwykle wręcz awanturą, zrobioną prowadzącemu budowę architektowi przez gen. Berbeckiego, który przybywszy o godzinę wcześniej wpadł we wściekłość widząc niektóre nie dokończone partie wnętrza, mimo niedawnych i uroczystych przyrzeczeń, że klucze do całkowicie wykończonego obiektu zostaną oddane tuż przed uroczystością. Tę gradową chmurę i "takiesynowanie" rozlegające się przez wszystkie piętra, rozładował w jakimś stopniu pokaz naszych instrumentów oraz bogatego ekwipunku wysokogórskiego porozkładanego na stołach meteorologicznej części budynku, a także zielone chodniki kokosowe rozciągnięte przez korytarze parteru i pierwszego piętra. By zatrzeć wrażenie, jakie czyniły nie dokończone parkiety i tynkowania tego dużego i nieco skomplikowanego budynku, objąłem oprowadzanie oficjal-

nych gości tylko po najciekawszych zakątkach obiektu. Szczególne wrażenie czyniły najpiękniejsze chyba widoki w kraju, oglądane z tarasów Obserwatorium.

Przyjęcie /obiad/ na miejscu organizował jakiś "profesor" z Warszawy, podobno dawny plutonowy i ordynans Berbeckiego z Legionów, który objął także dostawę "stylowego" umeblowania dla Obserwatorium. W rezultacie szafy sklecone z politurowanej dykty doszły na szczyt góry w stanie dość żałosnym, a "pan profesor" opuściwszy obiekt pod wieczór, zabrał cichaczem na huculskim koniku dwie pękate walizy nie otwartych koniaków i kilkanaście talii nie rozpieczętowanych kart do gry.

Sam obiad, wydawany w dwóch salach, przebiegał dość oryginalnie. W dolnej sali goście podrzędniejszej klasy otrzymywali go w postaci dużej ilości zakąsek i alkoholu. W górnej sali natomiast sanacyjne towarzystwo z marszałkiem Prystorem na czele zdążyło zjeść zupę, a kilkunastu otrzymało z dużym opóźnieniem nawet pieczyście, gdy nagle zagrzmiało siarczyście i Prystor podniósł się natychmiast, wzywając wszystkich do powrotu, jeśli nie chcą dotrzeć do Kołomyi przemoczeni do nitki /do podnóża zjeżdżali na huculskich konikach/. Ten grzmot burzowy okazał się rzeczywiście opatrnościowy, bo zorganizowana przez "profesora" obsługa we wzorzystych strojach huculskich wynosiła większość ogromnych półmisek z kuchni wprost do dużej gromady kumotrów zalegającej na stoku poniżej. Tak więc uniknęło się jeszcze jednego wulkanicznego wybuchu wściekłości generalskiej, nie mówiąc już o skandalu.

Następnego dnia Berbecki zjechał z resztą świty, a ja pozostałem z owym "białym słońcem" na rękach. Generał żegnając się ze mną z uśmiechniętym obliczem, rzekł: "Osobiście bardzo panu magistrowi dziękuję za uratowanie sytuacji i to wobec tak dostojnego grona i nie wątpię, że da pan tu sobie radę doskonale, zwłaszcza z tak dobrą gospodynią jak pana żona, która nam tu wszystkim bardzo przypadała do serca".

Obserwatorium było gmachem w kształcie litery "L", składającym się z 5 kondygnacji /w tym dwie wykute w szczycie góry/ i pięćdziesięciu kilku pomieszczeń różnych rozmiarów. Posiadało

własną siłownię /dwa agregaty Diesla/ i akumulatorownię /240 akumulatorów/, zespół pomp elektrycznych i centralne ogrzewanie wodne z kotłów opalanych ropą wtryskiwaną przez zapłony elektryczne. Celem zaopatrzenia w roczny zapas paliwa przyjeżdżał do Kut /stacja końcowa/, tranzytem przez ówczesne terytorium rumuńskie, krótki pociąg cysternowy z borysławskiego "Polminu", po czym przepompowywało się ropę w kilkaset stalowych beczek i przewoziło ciężarówkami przez Kosów i Żabie do podnóża masywu, skąd na półwózkach zaprzężonych w parę koni cały szwadron Hucuiów wywoził ją przez kilka tygodni po dość nędznym płaju do Obserwatorium. Wedle zestawień wylatywało kominami naszej kotłowni ponad sto ówczesnych złotych dziennie.

Tu należy zaznaczyć, że Zakład Astronomii Uniwersytetu Warszawskiego partycypował w rocznym koszcie utrzymania li tylko symboliczną kwotą, utrzymując okresowo jednego ze swych asystentów /głównie dra Włodzimierza Zonna/, który przeprowadzał badania nad fizyką gwiazd, dokonując każdej pogodnej nocy licznych zdjęć naszym astrografem z angielskiej firmy "Grubb and Parson", składającym się z teleskopu wizualnego oraz astrokamery, o soczewkach średnicy ok. 62 cm.

Obserwatorium było najwyższym zamieszkałym punktem w kraju i z wyjątkiem małego schroniska AZS /gospodarz - Ludwik Ziemblic/ odległego o pół godziny drogi, stało na absolutnym odludziu. Najbliższa agencja pocztowa i jedyny sklepik znajdowały się w odległym o 20 km. Żabiem-Zełenym, od najbliższego lekarza w Żabiem-Słupejce dzieliło nas 50 km, a od stacji kolejowej w Kołomyi z górą 120 kilometrów. Przy możliwej pogodzie najpopularniejsza była wielogodzinna wędrówka głównym grzbietem Czarnohory do doliny Foreszczenki, gdzie oczekiwała leśna drezyna motorowa z Worochty, zamówiona radiotelegraficznie *via* Stanisławów.

Ten "pałac na Czarnohorze", jak go nazywał prof. Z.Klemensiewicz, posiadał jeden, ale bardzo zasadniczy brak: mianowicie wodę w okresie posuchy trzeba było donosić z odległego o pół kilometra źródła, bo LOPP wydawszy milion złotych na cały obiekt wraz z zaopatrzeniem nagle postanowiła zaoszczędzić 40

tys.ący na nie zainstalowanym rurociągu z dwiema pompami elektrycznymi. W takim bezdeszczowym okresie do picia i kuchni wystarczały dziennie dwa wiadra przyniesione na "koromesłach", a do osobistego użytku trzeba było racjonować do 1 litra na osobę. Zimą używano się specjalnego topnika śniegowego podłączonego do centralnego ogrzewania.

Na życzenie dyrektora PIM musiałem przyjąć na wyżywienie cały personel, włączając w to placówkę ochronną Straży Granicznej, łącznie 16 osób. Obserwatorium posiadało oczywiście własnego kucharza, później kucharkę i woźną, a także bardzo obrotowego i miłego Hucuła zwanego "Czarnym Jurą", który donosił na nartach dwa razy w tygodniu nabiał i świeże mięso, a także wynajmował się do polerowania kilkuset metrów kwadratowych parkietów. Podobnie, za specjalną dopłatą dochodził z Zełenego dwa razy w tygodniu listonosz, który był równocześnie niezłym fryzjerem i chwalił sobie wygodny nocleg wraz z kolacją i śniadaniem.

W warunkach klimatycznych Czarnohory, szczególnie zimą, należało organizować życie i pożycie grupy kilkunastu osób trochę na wzór wypraw polarnych czy też ekspedycji w wyższe góry świata. A więc traktować wszystkich jednakowo i jak najprzyjaźniej, żyć dobrze, dbać o pewne wygody, a nawet jakieś drobne przyjemności i zwalniać co kilka tygodni na parodniowe urlopy w pobliskie okolice. Ten mój ostatni dezyderat został zatwierdzony przez biuro personalne Ministerstwa Komunikacji, do którego jako jeden z departamentów przynależał PIM. Podobnie przyznano wszystkim, choć z pewnymi oporami, specjalny dodatek wysokogórski.

Ale pomimo tych starań nie udało się uniknąć kilku nie całkiem przyjemnych wydarzeń. I tak po kilkunastodniowym okresie ciężkiej niepogody zimowej, gdy kilkadziesiąt wentylatorów zawodziło monotonna w ścianach wszystkich pomieszczeń /57/, jeden z asystentów-meteorologów zaczął zdradzać zupełnie wyraźnie oznaki co najmniej rozstroju nerwowego i trzeba było przenieść go w jakieś łatwiejsze miejsce. Z kolei drogą radio-telefoniczną odbyła się w styczniu 1939 r.. chyba jedna z pier-

wszych tego rodzaju konsultacji lekarskich, podczas której lekarz garnizonowy oraz ftyzjatra przyzwani do naszego drugiego radiotelefonu w Stanisławowie orzekli zgodnie, że jeden z naszych huculskich pomocników cierpi najprawdopodobniej na początki rozpadowej gruźlicy i należy go dostarczyć jak najprędzej do szpitala w Kołomyi. Jeszcze tego samego popołudnia zwieźliśmy go z gorączką do podnóża, gdzie czekała zamówiona taksówka z Żabiego. Przed zjazdem spod Obserwatorium kazałem na jego prośbę obrócić sanki ratownicze tak, by mógł spojrzeć po raz ostatni na gmach, który wznosił przez kilka lat wraz z innymi, a którego już nie miał oglądać. Właśnie słońce zachodziło krwisto poza Alpy Rodniańskie i wśród siarczystego mrozu niemal uroczysta cisza ogarniała Czarnohorę.

Dla prawdziwych ludzi gór pobyt w Obserwatorium był bez wątpienia fascynujący. Wszędzie, aż po widnokrąg, grzbiet wynurzał się spoza grzbietu, szczyt spoza szczytu, grań spoza grani. Wielkie doliny obu Czeremoszów wiły się dziesiątkami kilometrów pod stoki Kopilaszu, oraz odległej Hnitezy i Perkałabu. Na południowym podnóżu lśniło jezioro klauzy Balzatul, a w głębiach rozwierała się dolina Cisy. Skłoneczne wschody różowiły się na turniach Ineula, strażnika Gór Rodniańskich, a pod zachód żarzyły się rozległe granie Pietrosa, wszystko zakute w śniegi. Po którejś naremnicy śnieżnej na zachodniej ścianie budynku pozostała półmetrowa warstwa śniegu i lodu i we wszystkich pomieszczeniach z tej strony trzeba było świecić całymi dniami, aż żywioły uspokoiły się i można było przystąpić do odbijania tego "lodowca" długimi drągami.

W dużej sali jadalnej spożywaliśmy posiłki wszyscy razem, a do ostatniego dania musiała usiąść również obsługująca woźna, a podczas świąt także kucharka. Obserwatorium posiadało swe gościnne pokoje i przyjmowało niektóre osobistości ze świata naukowego, wojskowego i turystycznego, jako osobistych gości kierownika.

Nasz "biały słoń" budził dość dużo podejrzeń, niekiedy wśród zupełnie inteligentnych i wykształconych ludzi. Wybudowała go LOPP, popierał minister spraw wojskowych /specjalista

od łuculszczyny/, przejęło dwóch pułkowników - wiceministrów komunikacji, radiotelefony instalował /celem sprawdzenia prototypu w warunkach wysokogórskich/ wydział badań technicznych wojsk łączności, a Centrum Badań Lekarskich Wojsk Lotniczych szykowało się do założenia w Obserwatorium swego ośrodka badawczego. Potem ktoś puścił gadkę po Warszawie, że przeprowadzamy badania nad tzw. popularnie promieniami przeciwmotorowymi i nic już nie było w stanie odmienić naszej opinii wśród tysięcy turystów oraz Hucułów.

Ci ostatni, naród skłonny do fantazji, stworzyli szybko kilka gadek, które kursowały po Pokuciu. Najbardziej powszechna twierdziła, że od czasu wybudowania Obserwatorium śnieg na południowym stoku góry topi się niemal od razu i że często, nawet przy silnych mrozach, podnoszą się stamtąd "opary". Prawdziwy Pop, jak mówili, znajduje się głęboko we wnętrzu góry, a budynek stoi tylko dla pozorów, przykrywając podziemne lotnisko. Gdy "On" /taki był mój przydomek lokalny/ naciśnie ukryty w ściennej skrytce pancernej guzik, to część podłogi jego biura zjeżdża w głąb góry jak winda. Inna gadka oczerniała nasz zelektryfikowany zespół teleskopów jako specjalne działo, z którego można ostrzeliwać wszystkie kraje okoliczne.

A ja wraz ze swym personelem byłem za roztropany, by czemuśkolwiek zaprzeczać, a tym bardziej potwierdzać. Tworzące się bajki trzymały w jakimś stopniu w ryzach niespokojne żywioły w okolicy, a także, co może najdziwniejsze, otwierały szybko i uprzejmie drzwi władz starościńskich, a nawet wojewódzkich. Z tychże powodów nikogo nie dziwił ani irytował bezwzględny zakaz wstępu dla turystów, od których w przeciwnym wypadku trudno byłoby się opędzić, jak pouczał przykład z Obserwatorium na Kasprzym Wierchu. Dlatego wymagaliśmy przepustek podpisanych przez dyrektora PIM w Warszawie.

Najmilej bywało wieczorami w świetlicy, zwłaszcza gdy za potrójnymi oknami zawodziła dujawica czy burza śniegowa. Duży radiofon odbierał niemal pół świata, trzaskały piłeczki tenisa stołowego i tylko wychodzący co jakiś czas dyżurny meteorolog, mechanik, czy podoficer placówki granicznej świadczyli, że



praca postępuje bez przerwy, a instrumenty i maszyny są w ruchu. Delikatne tykania zaznaczające się w radiu świadczyły, że wielki astrograf prowadzony elektrycznie przez chronometry posuwa się za swym obiektem niebieskim, fotografując bez przerwy. A po północy astronom rozpoczynał swe kręte wędrówki do kopuły, ciemni i pracowni, by przespawszy potem większość dnia wychynąć pod wieczór niczym jeź lub sowa.

Nasz radiotelefon funkcjonował bez zarzutu, niosąc kodowane depesze meteorologiczne oraz wiadomości i prośby w szeroki świat. Co kilka godzin zapalały się czerwone światełka i rozlegała wywoławcza zapowiedź: "Halo Stanisław! Halo Stanisław! Mówi 59! Mówi 59! Przechodzę na odbiór - słucham!". A odbierano go dobrze i głośno, bo po pewnym czasie okoliczni mieszkańcy Stanisławowa wysłali swego rodzaju deputację do obsługującej nas grzecznościowo Kompanii Łączności, żaląc się że wieczorami na poważnej części rejestru ich odbiorników słychać głównie Czarnohorę i niewiele więcej.

Wiosną wielka sala instrumentalna na najwyższym piętrze to-nęła w powodzi słońca. Czarnohora i Rodna bieliły się jeszcze wysokimi firnami, a "Stanisław" mówił przez radio o dojrzewających w mieście wczesnych czereśniach i pachnących wszędzie bzach i jaśminach.

Rok 1939 był rokiem największego zbliżenia się do Ziemi planety Mars. Co wieczora płonął on na niebie czerwonym odblaskiem, a dyżurny astronom zużywał coraz większe ilości niskoczułych klisz. Wieczorami snuły się rozmowy na temat wszechświata.

Z wyżyn tych sprowadzał nas na ziemię 6-letni Jacek, który przysiadłszy się do dwumetrowego KOP-isty zerkał z uznaniem na jego karabinek i lornetę, opowiadając mu ostatnio przeczytane bajki: "...i rozżłoszczony świniopas zatrzasnął drzwi swojego państwa, zostawiając płaczącą królową na ulewnym deszczu...".

Po wszystkich okolicznych grzbietach rozciągały się resztki umocnionych pozycji z pierwszej wojny światowej. Resztki krętych okopów z pozapadanymi dobiegami, powalone zasieki, kupki łusek karabinowych, resztki poplamionych bandaży i przycupłe tu i ówdzie małe cmentarzyki na stokach. W gąszczu pod Hnitezą



tkwi : całkowicie zachowany okop, z przerdzewiałymi granatami ręcznymi leżącymi w pogotowiu na parapetach. Jego załoga przed blisko 25 laty widocznie opuściła go w wielkim pośpiechu:

Młodszy z naszych astronomów polował zawzięcie na nowe komety, przeszukując widnokrąg o zmierzchu specjalną lunetką ustawioną na górnym tarasie. Czynności te zakłócił mu starszy mechanik, który na ciężkim trójnogu szukacza osadził z dniem 31 sierpnia przeciwlotniczy karabin maszynowy, oświadczając z łobuzerskim uśmiechem: "Ślus z kumetami, panie Skoczygwiazda, bo tu insze frajery pojawiają się na niebie lada dzień!".

Gdy drugiego września powróciłem do Obserwatorium z wyjazdu służbowego, nasz radiotelefon milczał, bo obsługująca go w Stanisławowie Kompania Łączności wyruszała na front. Doprowadzoną w ostatnich dniach linią napowietrzną wysyłałiśmy depesze do radiostacji Straży Granicznej w Kołomyi, która była naszym łącznikiem z szerokim światem.

W pozornie kamiennym spokoju ubiegały pierwsze dni września. Ciemnoniebieskie żarówki tliły się w przejściach i w radiostacji. W związku z fałszowaniem przez wroga lotniczych znaków rozpoznawczych, Obserwatorium ostrzegało okoliczne lotniska, że może ostrzelać każdy samolot krążący w pobliżu i martwa cisza na niebie otaczała nas aż do 18 września. W połowie miesiąca poleciłem wykręcić wszystkie potrójne soczewki oraz uzbrojenie astrografu i przygotować do konnego transportu.

Dzień 17 września, dżdżysty i przenikliwy aż do południa, zakończył chyba najpiękniejszy zachód słońca, jaki kiedykolwiek oglądałem z grani Czarnohory. Strzępki mgiełek drgały nad północnymi dolinami, a liliowa zorza długo paliła się na stokach Ineula. W zapadającym mroku podszedł do mnie przodownik Straży Granicznej i powiadomił, że na otrzymany przed chwilą rozkaz mają opuścić Obserwatorium, udając się ku Uścierykom i granicy rumuńskiej. Tak samo placówka Obrony Narodowej.

Chmury zagarnęły Czarnohorę ponownie i pozostaliśmy sami. Telefon milczał, a noc schodziła na pakowaniu. Świt wstał deszczowy i błady, i tylko tu i ówdzie odsłaniały się fragmenty dolin. Wiadomości radiowe podawane przez zagraniczne stacje nie

pozostawiały wątpliwości.

Po wspólnie spożytym posiłku rozebrałem radiotelefon i wyniósłszy na dziedziniec rozbijałem jego części młotem, zgodnie z posiadanymi rozkazami "mob". Patrząc jak w trzaski rozlatywały się lampy, przetworniki, kondensatory i różne cudeńka, Huculi czekający obok z jucznymi końmi tręcili się łokciami, szepcząc: "Wże kineć!.." /Już koniec/.

A koniec zbliżał się miarowym krokiem. Obszedłem cały budynek, otwierając przed wyjściem skrytkę pancerną i blokując przełączniki na tablicach rozdzielczych siłowni i kotłowni. Wreszcie przywołałem Czarnego Jure, mówiąc po ukraińsku, by nie było wątpliwości: "Schodzimy do Balzatułu i gwarantuję wam wszystkim nietykalność od Węgrów /którzy od kilku miesięcy okupowali Ruś Zakarpacką/. Gdy powrócisz tu jutro, wystawisz z tarasu dużą flagę - tylko jej pas czerwony - by uchronić Obserwatorium od rabunku przez miejscowych. Zostawiam ci dwa mausery z amunicją i pisemne upoważnienie do zastrzelenia każdego, kto by usiłował włamać się do budynku przed nadejściem władz okupacyjnych. Z przygotowanych na zimę zapasów żywności wypłacisz chłopów od jucznych koni po powrocie - po worku cukru na głowę - a większość pozostałej żywności zabierzesz sobie do Żabiego. Miej się, chłopie, i nie daj się!".

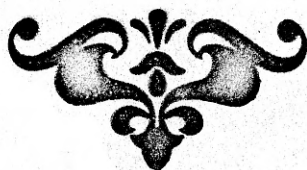
Jura ze łzami w oczach chciał mnie ująć pod nogi - uścisnąłem go jak brata. Po czym klucz zazgrzytał w kutych drzwiach wejściowych i cała karawana koni i ludzi ruszyła wzdłuż muru, przechodząc po kolei granicę państwa. Uklęknąłem całując mokrą ziemię. Wiatr zacinał przenikliwym deszczem i wielka kurtyna sinych chmur jakby opuszczała się za nami na granie Czarnohory.

Przez rumowiska skalne i kotły schodziliśmy w głąb Rusi Zakarpackiej. Mały Jacek niosący w jednej ręczce maleńką walizkę z najukochańszymi zabawkami, a w drugiej misia, przewracał się niekiedy na śliskich trawnikach, ale podnosząc się ze skrzywioną buzią, szedł dalej za końmi. Gdy po kilku godzinach obejrzelśmy się u górnej granicy lasów po raz ostatni, gdzieś w podniebiu wyłoniła się z przewalających się grzbietem mgieł wysmukła wieża, na którą kładły się ostatnie promienie zachodzącego nad Marmaroszą słońca.

## S P I S   T R E Ś C I

str.

|                                             |     |
|---------------------------------------------|-----|
| Jak powstał Główny Szlak Karpacki . . . . . | 99  |
| O Białym Słoniu na Czarnohorze . . . . .    | 103 |





W cenę książki wliczona jest wpłata  
(100 zł) na fundusz ratowania zbiorów  
Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego

DZIĘKUJEMY

